

Włoczęga

organ

ksubu włoczęgow

w

Wisnie R.II.Nr 7

J. Kruszyński.

KLUB IDZIE DO DALSZEJ PRACY. — ROBOTNICZE ORGANIZACJE
W WILNIE I WOJ. WILEŃSKIM — *Czesław Bielski*. — UNION DES
ETATS SCADINAVES DES REPUBLIQUES BALTES ET DE LA PO-
LOGNE *Teodor Nagurski*. — Z WYCIECZKI NA LITWĘ *Bronisław
Krzyżanowski*. — CZY DŹWINA JEST ŻEGŁOWNA *Teodor Nagurski*. —
METODA HISTORYCZNA *C. J. F.* — WŁÓCZĘGA U SIEBIE: Uchodźstwo
kresowe w Polsce *ks. W. Bukowiński*, Problem polsko-czeski na Śląsku
Cieszyńskim *Dr. L. Kohutek*, Union des Etats Scandinaves des Republ.
Balt. et de la Pologne *T. Nagurski*. — WŁÓCZĘGA PO MIEŚCIE I WSI:
Turyści — Krytycy od wszystkiego *M. Kulesza* — Jak za Murawjewa.
WŁÓCZĘGA PO PISMACH I KSIĄŻKACH *O. Hedemann*: Dzisiaj i Druja.
„Turysta w Polsce”. — Z TEATRÓW WILEŃSKICH: Teatr miejski
u progu nowego sezonu *B. Wierzbicki*, W obronie „Lutni” *P. Her-
manowicz*. — AKADEMICKI KLUB WŁÓCZĘGÓW WILEŃSKICH: Spływ
do Legaciszek — Zmniejszenie się ilości kol. akadem. na U. S B.
Co będzie z „Alma Mater Vilnensis”.

TRZY PIERWSZE TOMIKI

„BIBLIOTECZKI WŁÓCZĘGI”

- 1) Józef Poniatowski:
Polesie w strukturze gospodarczej Polski
- 2) Marja Znamierowska-Prüfferowa:
Muzeum na wolnym powietrzu w Wilnie
- 3) 18 ohydnych paszkwilów na Wilno i Wilnian

SĄ DO NABYCIA W ADMINISTRACJI „WŁÓCZĘGI”
(WILNO, PRZEJAZD NR. 12) ORAZ W KSIĘGARNIACH

CENA 50 GROSZY

DALSZE TOMIKI W DRUKU

WARUNKI PRENUMERATY: za 12 numerów — 5 zł. Konto P. K. O. Nr. 143.427, TEODORA NAGURSKIEGO
CENA OGŁOSZEŃ: 1/1 strony—25 zł., 1/2 strony—15 zł., 1/4 strony—10 zł., 1/8 strony—7 zł., z zastrzeżeniem miejsca 25% drożej

Komitet Redakcyjny i Wydawca: KLUB WŁÓCZĘGÓW.

Odpowiedzialny redaktor: PIOTR HERMANOWICZ.

Adres Redakcji i Administracji: Wilno, ul. Przejazd 12.

Drukarnia „GRAFIKA” Gracjana Achrem-Achremowicza. Wilno, Trocka 13. Tel. 13-69.

KLUB IDZIE DO DALSZEJ PRACY

Numer niniejszy jest pierwszym w rozpoczynającym się roku naszej pracy. Czasokresy naszej pracy mierzymy bowiem nietyle latami kalendarzowymi, ile latami pracy uniwersyteckiej. Nie styczeń więc, ale październik jest zwykle dla nas początkiem nowego roku naszej pracy.

W tem ujmowaniu okresu pracy naszego zespołu tkwi piętno naszego pochodzenia. Jesteśmy bowiem przede wszystkim grupą koleżeńską byłych słuchaczy Wileńskiej Almae Matris.

W październiku 1929 r., w dniach obchodu 350 letniego istnienia Wszechnicy Batorowej, grupa dawnych członków uczniowskiego i akademickiego Klubu Włóczęgów oraz kolegów uniwersyteckich, zebrana w mieszkaniu Teodora Nagurskiego, wspominając wspólne lata studjów i walki, te dziwne lata, gdy książka i karabin były symbolami naszego życia, postanowiła zadzierzgnięte wówczas więzy utrzymać nadal, tworząc zespół pod nazwą tej organizacji akademickiej, z którą wszyscy mniej lub więcej ściśle byliśmy związani.

To pochodzenie naszego klubu znalazło wyraz w pierwszej naszej deklaracji ideowej, która głosi: „Za życiowe zadanie naszego pokolenia włóczęgów obieramy wytrwałą niczem niezrażającą się pracę, mającą na celu rozszerzenie ścian naszego Domu Wileńskiego przez rozszerzenie jego wpływów kulturalnych na tereny, na które ongiś promieniował Uniwersytet Stefana Batoroego“.

Nasz program polityczny wyrósł w dużym stopniu pod wpływem sugestyj, płynących od sklepień sal, w których niegdyś słuchaliśmy wykładów. Postanowiliśmy starać się nigdy nie tracić kontaktu z życiem naszej Wszechnicy. Widocznym znakiem tego naszego pochodzenia pozostało, iż zawsze po okresie letniej włóczęgi rok pracy intelektualnej i społecznej zaczynamy razem z Uniwersytetem.

Rok, który minął, był w życiu naszego zespołu rokiem o tyle szczególnym, iż przestaliśmy być tylko klubem ideowo-dyskusyjnym oraz sportowo-turystycznym, ale staliśmy się grupą bardziej aktywną politycznie. Nasze nastawienie polityczne ściśle wiąże się z tem podłożem, z którego wyrósł nasz Klub. Uważamy, że w życiu Polski współczesnej *rzeczy, które należy osiągnąć, są niemniej ważne od tych, które przy czynnym współudziale naszego pokolenia już zostały osiągnięte.*

Odbudowanie dawnego znaczenia Rzeczypospolitej na wschodzie wymaga jeszcze wielu lat walki i pracy. Uważamy, że ten problem jest zarówno problemem polityki zagranicznej, jak problemem przeprowadzenia szeregu przemian w zakresie stosunków wewnętrznych. Nie możemy mówić o mo-

carstwowej roli Rzeczypospolitej na wschodzie Europy, dopóki nasze ziemie stanowią teren zacofany gospodarczo, dopóki nie mamy nawet poglądu na metodę, z której pomocą należy dążyć do rozbudzenia tętna życia na tych terenach. Nie możemy mówić o realizacji naszych marzeń, dopóki nie jest rozwiązana dręcząca kwestja ukraińska, dopóki w tej czy innej drodze nie jest załatwiona sprawa współdziałania z Litwą kowieńską, dopóki w stosunkach wewnętrznych ogromna większość naszych urzędników uważa za swój polityczny obowiązek wmawianie mniejszościom, że one są i muszą być wrogami państwa.

Uważamy, że aktywna rola Rzeczypospolitej na wschodzie wymaga nietylko wielkich posunięć politycznych, ale także wielkiej przemiany psychologicznej. Praca w tym kierunku musi stać się hasłem naszego pokolenia. Ta praca musi stać się także walką przeciwko tym wszystkim siłom w naszym społeczeństwie, które realizacji naszych marzeń stają na przeszkodzie.

Cechą charakterystyczną dzisiejszego społeczeństwa polskiego jest jego bierność, niezdolność do skoordynowania wysiłków. Przepływa przez to społeczeństwo prąd nacjonalistyczny, wytwarzający niezdrową atmosferę szowinizmu, sprzecznego z interesami naszego państwa, z jego misją dziejową. Bardzo wiele sił społecznych zużywa się również na małostkowe walki personalne, podczas gdy *odłogiem leżą ogromne pola pracy na wsi, tak bardzo opuszczonej dzisiaj i tak strasznie zaniedbanej.*

My wiemy, że cienka skorupka istniejących na papierze organizacji terenowych pokrywa beznadziejną pustkę, jaka panuje na wsi, która dzięki temu jest środowiskiem podatnym na obce wpływy.

Z natury rzeczy jesteśmy narażeni na to, że w otaczającym nas środowisku będziemy mieli wielu przeciwników. Naszymi przeciwnikami są w pierwszym rzędzie nacjonałiści rodzimi z własnego polskiego, jak również z mniejszościowych społeczeństw. Są również nimi ci wszyscy, niestety tak bardzo liczni, przedstawiciele administracji, którzy reprezentują t. zw. „narodowe” koncepcje polityki administracyjnej, które w praktyce stają się polityką szykan miejscowego elementu niepolskiego.

Uważamy, że przywiązanie do państwowości polskiej szerokiej mas miejscowej ludności niepolskiej, jest jednym z warunków prowadzenia wielkiej polityki Wschodniej. To przywiązanie może się wychować tylko wówczas, gdy administracja, będąc silną i bezwzględną, będzie zarazem sprawiedliwą i życzliwą w stosunku do ludności. Miejscowy włościanin białoruski musi mieć to poczu-

cie, że jest on w równym stopniu objektem troski i opieki państwa, jak i jego ziomkowie, którzy należą do narodowości polskiej.

Tacy przedstawiciele administracji, jak ów starosta, o którym opowiadają, że w zapale polonizatorskim nawet raka do zapadłego miasteczka kresowego sprowadził z centrum państwa, są jednostkami szkodliwymi. Z natury rzeczy jednostki takie stają się przeciwnikami naszego Klubu.

Drugi typ naszych przeciwników — to ludzie, którzy w stosunku do Państwa reprezentują psychikę konsumpcyjną, którzy uważają, że okres walki o Polskę został już skończony — i teraz przyszedł czas realizacji weksli, zdobytych swojemi lub cudzemi zasługami w walce o niepodległość. Psychika ta jest czynnikiem rozkładu moralnego. Dookoła ludzi nieraz zasłużonych gromadzą się typy bezideowych karierowiczów, tworzą się koterje zaciekłe walczące o rzeczy drobne i mało istotne. W ten sposób marnuje się wiele energii społecznej, która ginie dla celów pracy konstruktywnej.

Uważamy, że zasłudze należy się cześć i sza-

cunek, ale uważamy jednocześnie, że społeczeństwo musi być zespołem wzajemnie uzupełniających się funkcji. Do pełnienia tych funkcji muszą iść ci przede wszystkim, którzy mają obiektywną zdolność możliwie jaknajlepszego, jaknajbardziej zgodnego z zasadniczymi celami państwa ich wykonywania, a nie ci, którzy posiadają takie czy inne „weksle“ lub takie czy inne „stosunki“. Zasadą w stosunku oceny każdej funkcji społecznej musi się stać nie „kto“ wykonuje, ale „jak“ wykonuje.

Niszczenie bezideowych ośrodków koteryjnych uważamy za społeczną konieczność nie tylko ze względu na bezpośrednią szkodę, którą one tym czy innym sprawom mogą przynieść, ale również ze względu na to, że stanowią one czynnik rozkładowy, sugestionując otoczenie swoim wysoce niemoralnym stosunkiem do spraw państwowych.

Naszą ambicją jest, aby, zajmując pewne zasadnicze stanowisko, reprezentować nie tylko pewne hasła, ale również czynnik energii i woli w kierunku ich realizowania.

W ubiegłym miesiącu zmarł gen. Julian Stachiewicz, zasłużony bojownik o niepodległość Polski, jedna z tych jasnych, kryształowych postaci, które pozostawiają po sobie więcej, niż wspomnienie: prócz ogromu wyników dokonanej pracy (opracowania Biura Historycznego M. S. Wojsk.) zmarły pozostawił przykład, jak należy pracować i żyć dla dobra Najjaśniejszej Rzeczypospolitej. Ludzie typu Juliana Stachiewicza to drogowskazy na drodze życia następnych pokoleń.

CZESŁAW BIELSKI

ROBOTNICZE ORGANIZACJE ZAWODOWE W WILNIE I WOJ. WILENSKIEM

I. ZARYS HISTORYCZNY

Przystępując do opracowania powyższego zagadnienia natrafiłem na duże trudności w uzyskaniu materiałów. Dotychczas niema w tej dziedzinie żadnych publikacji, żadnych opracowań, a nawet sprawozdań, poza sprawozdaniami wewnętrznymi, które z reguły są niedostępne dla oczu ciekawych. Zmuszony byłem oprzeć się na informacjach ustnych, uzyskiwanych w pogawędkach z członkami i działaczami kilku — jeśli chodzi o grupy związków, kilkudziesięciu — jeśli chodzi o poszczególne związki, organizacji.

Dzięki temu dane cyfrowe co do ilości zorganizowanych członków nie są stuprocentowo ścisłe i pewne; natomiast dzięki tym samym okolicznościom historia i ocena wypadków, co ma nierównie większe znaczenie, jest najzupełniej obiektywna i ujmuje najistotniejsze cechy robotniczego ruchu zawodowego w Wilnie.

Jak już wynika z tytułu wziętem sobie za zadanie zbadanie robotniczych organizacji zawodowych t. zn. tylko tych organizacji, które skupiają wyłącznie pracobiorców, t. zn. robotników zatrudnionych w cudzych warsztatach i zakładach pracy. Całkowicie pominąłem samodzielnych rzemieślników i zatrudniających we własnych warsztatach i zakładach pracy inne siły robocze. Wyjątek stanowią jedynie Chrześcijańskie Związki Zawodowe, które łączą w sobie oba typy organizacji zawodowych i obie kategorie robotników.

Związki Zawodowe, powstające w celu obro-

ny interesów warstwy robotniczej, dla zdobycia większej siły, a co zatem idzie, dla osiągnięcia większej skuteczności swych dążeń, łączą się w grupy. Proces łączenia odbywa się w dwóch kierunkach: w kierunku jednoczenia się związków danego zawodu kilku ośrodków w centrale związków, oraz w kierunku powstawania organizacji porozumiewawczych międzyzwiązkowych (związków różnych zawodów) na terenie jednego ośrodka. Te ostatnie organizacje tworzą z kolei jakgdyby najwyższe instancje: centrale organizacji międzyzwiązkowych porozumiewawczych z kilku lub kilkunastu ośrodków.

Oba te kierunki grupowania się oparte są na pewnym systemie, w przeciwieństwie do grupowania się politycznego, które nosi cechy przypadkowości. Proces politycznego grupowania, które ze względu na charakter i skutki należy raczej nazwać podziałem politycznym, polega na tem, że pewne związki zawodowe lub grupy związków ulegają wpływom partii politycznych, albo nawet są przez nie organizowane. Rezultaty są takie, że częstokroć na terenie jednego ośrodka jest tyle związków jednego zawodu, ile jest partii politycznych mających wpływy w danym ośrodku. Drobne takie związki należą wprawdzie do lokalnych i pośrednio centralnych organizacji porozumiewawczych międzyzwiązkowych, lecz też partyjnych.

Nietrzeba dodawać, że skutki takiego rozdrobnienia są z punktu widzenia interesów warstwy robotniczej fatalne.

W Wilnie i woj. Wileńskim, co jest zresztą jednoznaczne, gdyż nieliczne próby zorganizowania związków zawodowych poza Wilnem były inicjowane przez związki wileńskie, istniały względnie istnieją do dziś dnia następujące ugrupowania związków zawodowych:

Komisja Okręgowa Klasowych Związków Zawodowych — pozostaje do dnia dzisiejszego pod wpływami Polskiej Partji Socjalistycznej;

Komisja Okręgowa Klasowych Związków Zawodowych — przestała istnieć jednocześnie z Niezależną Socjalistyczną Partią Pracy;

Klasowe Związki Zawodowe — zostały zlikwidowane z t. zw. Lewicą P. P. S.;

Zjednoczenie Związków Zawodowych Ziemi Północno-Wschodnich (początkowo nosiło nazwę Rady Gospodarczej Ziemi Półn.-Wsch.) — zorganizowane przez Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem; oraz

Centrala Chrześcijańskich Związków Zawodowych — dotychczas pozostaje pod wpływami Chrześcijańskiej Demokracji.

Najstarsze tradycje posiada Komisja Okręgowa Klasowych Związków Zawodowych. Pierwsze związki należące do tego ugrupowania były organizowane przez P. P. S. jeszcze w latach 1884—85. Powstały wówczas związki zawodowe garbarzy, robotników przemysłu trykotarskiego, oraz metalurgicznego. Dopiero w kilkanaście lat od tego momentu, równocześnie z powstaniem Socjal-Demokratycznej Partii Litwy i Białejrusi, powstały związki konkurencyjne. W krótki czas potem rosyjskie władze zaborcze dokonały pierwszych aresztowań i zesłań działaczy robotniczych. Niezawodnie do ujawnienia nielegalnej i zresztą politycznej działalności zw. zaw. przyczyniła się rywalizacja, która jednak mimo tak smutnych doświadczeń nie zanikła, lecz wręcz przeciwnie, wzrosła przez powstanie w latach 1902—1903 Rosyjskiej Partii Socjal-Demokratycznej oraz żydowskiego socjalistycznego Bundu. W tymże okresie członkowie tracącej w Wilnie znaczenie P. P. S. zorganizowali się w Socjal-Demokratycznej Partii Robotniczej. Rywalizacja tych czterech partii sprawiła, że np. były wówczas trzy związki zawodowe garbarzy (tylko Bund nie stworzył czwartego).

Po dwóch latach rozbitcia i rywalizacji nastąpiło wreszcie ścisłe porozumienie partii politycznych, które ogromnie przyczyniło się do szybkiego rozwoju związków zawodowych w latach 1905—1908. Oprócz współpracy związków do pomyślnego rozwoju przyczynił się bardziej tolerancyjny stosunek władz rosyjskich, a nawet zalegalizowanie — na krótki czas — ruchu zawodowego, oraz kilka udanych akcji zw. zaw. Największym sukcesem uwieńczony został 7-tygodniowy strajk garbarzy, poparty solidarnie przez robotników przemysłu trykotarskiego, skórzanego i innych. Uzyskano wówczas 8-godzinny dzień pracy i 20% podwyżki płac.

Niestety okres pomyślnego rozwoju rychło się skończył, gdyż po 1905 roku nastąpiły represje i prześladowania przez władze zaborcze, które doprowadziły do zupełnego upadku i rozwiązania niektórych, nawet nielegalnych, organizacji. Najcięższy dla ruchu zawodowego był okres od 1908 do 1911 roku. Ostatnie lata przed wojną światową związki wegetowały; zorganizowały się ponownie już w czasie okupacji niemieckiej.

Lecz i wówczas nie mogły rozwinąć swej normalnej działalności, wskutek katastrofalnej nędzy i głodu już nietylko warstwy robotniczej, ale całej ludności wileńskiej. Rzeczą drugorzędną były warunki pracy, jeśli za uzyskany zarobek nie można było zdobyć dostatecznej ilości artykułów żywnościowych ze względu na ich brak. I temu nie mogłyby zapobiec nawet najdalsze ustępstwa i najlepsza wola pracodawców: — „wyzyskiwaczy“ i „wrogów klasy robotniczej“.

Związki zawodowe musiały podjąć wówczas akcję charytatywną i poniechać walki socjalnej.

Niestety jednak członkowie zw. zaw., których ilość dochodziła do tysiąca, z powodu ciężkich warunków bytu byli bardzo podatni na agitację elementów skrajnych — komunistycznych. Elementy te podsycane wieściami ze wschodu o szybkich postępkach rewolucji oraz przykładem zbuntowanych oddziałów okupantów niemieckich t. zw. „spartakowców“ w końcu roku 1918 opanowały całkowicie związki, tworząc z ich członków zbrojne drużyny, a z siedziby związków, Klubu Robotniczego — warowną twierdzę (daw. ul. Wronia — obecnie Dąbrowskiego). Poczynania skomunizowanych związków doprowadziły, po ustąpieniu z Wilna wojsk okupacyjnych, do krwawego konfliktu z P. O. W., z którą współdziałały uzbrojone drużyny harcercy. Starcie nastąpiło w noc Noworoczną 1919 roku i doprowadziło do rozbitcia związków zawodowych i opanowania Klubu Robotniczego i całego miasta przez P. O. W. Już jednak w dwa dni potem miasto odebrali bolszewicy.

Ponownie wznowiły swą działalność związki zawodowe, jako takie, dopiero w 1920 r. po zdobyciu Wilna przez gen. Żeligowskiego. Wprawdzie już w r. 1919 były próby reaktywowania związków, lecz po tak niedawnym skompromitowaniu się nie potrafiły pozyskać zaufania warstwy robotniczej i przychylnego stosunku władz.

Od 1920 roku datuje się okres najświetniejszego rozwoju związków. Wówczas właśnie powstała Komisja Okręgowa Klasowych Związków Zawodowych, pozostająca pod wpływami P. P. S. i Partii Socjal-Demokratycznej Litwy i Białejrusi do 1922 r., potem zaś wyłącznie pod wpływami P. P. S., po przyłączeniu się do niej resztek P. S. -D. L. i B. Najwyższy punkt rozwoju przypada na lata 1912—24, kiedy to liczba członków doszła do 10—12 tysięcy. W roku 1923 związki zorganizowane w Komisji Okręgowej wzięły udział w strajku powszechnym, stłumionym przez rząd Chjeno-Piasta; w Krakowie strajk powszechny miał nawet krwawe zakończenie, gdyż na rozkaz Witosa i Kiernika „krwawego“ oddziały kawalerji szarżowały na demonstracje strajkujących.

Okres pomyślności nie był długotrwały, gdyż w 1925 r. wynikły wewnątrz związków tarcia i zgrzyty, które ostatecznie doprowadziły do rozłamów.

Nieporozumienia wewnętrzne wynikły na tle różnic politycznych i ideowych; niezawodnie jednak do ich wywołania przyczyniły się względy ekonomiczne, gdyż wbrew ogólnej przyjętej opinii, że kryzys i za nim idące bezrobocie zaczęły się dopiero w latach 1928—1929, już w roku 1925 bezrobocie dawało się silnie odczuwać. W pewnym momencie w związku budowlanym na 1.500 członków około 1.000 było bezrobotnych.

Wówczas, dzięki zabiegom związku budowlanego i brukarskiego, na Radzie Miejskiej m. Wilna zapadły dwie znamienne uchwały. Na mocy jednej Magistrat mógł, w wypadku wstrzymywania wypłaty zarobków robotniczych przez przedsiębiorców prowadzących roboty miejskie, opłacać robotników na rachunek sum należnych przedsiębiorcom z umowy. Na mocy drugiej uchwały Magistrat miał prowadzić roboty sam, zatrudniając robotników bezpośrednio i odbierając w ten sposób możliwość nadużyć przedsiębiorcom.

Jednocześnie powstała przy związkach Spółdzielnia brukarska, która prosperowała kilka lat nader pomyślnie, mając obroty roczne do 30—40 tysięcy złotych. Po rozłamie nie przystąpiła do żadnej z grup i wreszcie zlikwidowała się w 1929 roku.

W końcu 1926 r. nastąpił rozłam. Część, mniejszą pod względem ilości związków i członków, P. P. S. oderwała, przeniosła do lokalu Zawodowego Związku Kolejarzy. Mniejszość oderwana była jednak znaczenie aktywniejsza i w przeciwieństwie do grupy pozostałej rozwijała się bardzo szybko, co znalazło swój wyraz w czasie wyborów do Rady Miejskiej w r. 1927, w których wspólna lista P. P. S. i Związków Zawodowych uzyskała 9 mandatów radzieckich.

Do kulminacyjnego punktu rozwoju związki zawodowe z pod znaków P. P. S. doszły w 1927 i w początkach 1928 roku, w którym liczyły 4 do 5 tysięcy członków w samym Wilnie. Najpotężniejszy był związek zawodowy kolejarzy, obejmujący na całym terenie Dyrekcji Okr. K. P. ponad 10 tysięcy członków, stanowiących zwartą, wyrobioną organizacyjnie masę. Na drugim z kolei miejscu pod względem liczebności stał związek rolny liczący w tym okresie około 3000 członków, skupionych w powiatach święciańskim, postawskim i oszmiańskim.

Od tego momentu związki zawodowe pepeesowskie poczęły bardzo szybko tracić swą liczebność i wpływy równoległe z upadkiem wpływów P. P. S. I tak już w pół roku później w wyborach do Sejmu (1928) w okręgu wileńskim stronnictwo to nie uzyskało żadnego mandatu; w okręgu święciańsko-postawsko-dziśnieńskim uzyskano jeden mandat dzięki silnemu jeszcze ośrodkowi Zw. Zaw. Kolejarzy w Święcianach, oraz dzięki Zw. Zaw. Pracowników Rolnych.

Do następnych wyborów do Sejmu w r. 1930 P. P. S. ze Zw. Zawodowymi stanęła wespół z innymi stronnictwami opozycyjnymi tworząc spółkę polityczną pod patetyczną nazwą Związku Obrony Praw i Wolności Ludu, — popularnie zwaną Centrolewem. Jednak blok ten ukazał swą niemoc nie uzyskując w Wilnie żadnego mandatu. Natomiast o sile Centrolewu w okręgu wyborczym święciańsko-postawsko-dziśnieńskim trudno jest coś sądzić, gdyż lista bloku została unieważniona.

W latach następnych zw. zaw. coraz bardziej upadały, wreszcie w roku bieżącym liczą niewiele ponad tysiąc członków i są zupełnie zdezorganizowane. W dalszym ciągu najsilniejszy jest zw. kolejarzy, liczący obecnie 300 do 400 członków. Poza to do większych należą związki żydowskie: handlowców, szewców — kamaszników, rękawiczników, spożywców; przytem wyjaśnić należy, że związki żydowskie aczkolwiek politycznie ulegają Bundowi, własnej organizacji międzyzwiązkowej nigdy nie posiadały i kilka wymienionych należało stale do

Komisji Okrągowej Kl. Zw. Zaw. Związek rolny, ongiś potężny, obecnie prawie nie istnieje i wreszcie jest jeszcze kilka maleńkich związków liczących po kilkunastu członków.

Związek budowlany w miesiącu czerwcu r.b. oderwał się od Komisji Okręgowej i kolejno wyrażał ochotę przystąpienia do związków sanacyjnych, chrześcijańskich, do związku użyteczności publicznych — lecz wszędzie spotkał się z odprawą, co zresztą nie znajduje potwierdzenia u członków zainteresowanego związku.

Drugą z kolei grupą związków zawodowych była Komisja Okręgowa Klasowych Związków Zawodowych ulegająca wpływom Niezależnej Socjalistycznej Partji Pracy. Grupa ta powstała wskutek rozłamu związków zawodowych w 1926 roku. Jak już zaznaczyłem była ona początkowo silniejsza od grupy pepeesowskiej, lecz przejawiała małą aktywność i dzięki temu w bardzo krótkim czasie straciła swą liczebną przewagę i znaczenie. Ciąsem dla niej był fakt uznania Komisji Okręgowej pepeesowskiej za prawowitego członka Komisji Centralnej, opanowanej również przez P. P. S. (C. K. W.). W wyborach do Rady Miejskiej w 1927 r. związki z tej grupy z Niezależną Socjalistyczną Partją Pracy oraz z t. zw. Lewicą P.P.S. uzyskały jednak 5 mandatów radzieckich. W rok potem, w wyborach do Sejmu, na tę samą listę padło o 60% głosów mniej, a w roku 1930, również w wyborach do Sejmu, już tylko 12% ilości głosów z r. 1927. W roku 1929 do Komisji Okręgowej Kl. Zw. Zaw. przy Niezależn. Socjal. P. Pr. należały zaledwie trzy związki; budowlany, brukarzy i garbarzy. Ten ostatni reprezentował wprawdzie najstarsze w Wilnie tradycje, gdyż istniał nieprzerwanie od lat 1884—85 i nawet skupiał w swych szeregach ludzi, którzy jeszcze w ubiegłym stuleciu za pracę dla związku byli karani przez władzeaborcze. Członków związku te liczyły do 200.

W roku 1931 resztki ich przystąpiły do nowopowstających związków sanacyjnych.

Niedługo też cieszyły się egzystencją Klasowe Związki Zawodowe Lewicy P.P.S. Powstały w latach 1926 — 1927; w pierwszych latach istnienia miały swój kulminacyjny punkt rozwoju. Liczyły do 1000 członków. Wskutek szkodliwej dla ruchu zawodowego działalności i ulegania wpływom komunistów rychło utraciły popularność. Niechlubną ich działalność zlikwidowały władze administracyjne w 1930 roku.

Najmłodszym ugrupowaniem związków zawodowych na terenie Wilna jest, zorganizowana przez B.B.W.R., Zjednoczenie Klasowych Związków Gospodarczych Ziem Północno-Wschodnich. Powstało ono w roku 1929 i początkowo nosiło nazwę Rady Gospodarczej Związków Zawodowych Ziem Północno-Wschodnich. Związki tej grupy rozwijały się szybko dzięki temu, że w okresie ich powstawania związki należące do innych ugrupowań były w stanie zupełnego rozkładu i upadku, a nawet, jak Klasowe Związki Zawodowe Lewicy P.P.S., zupełnie przestały istnieć.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wilno jest miastem, z którym się łączy cała nasza ideologia polityczna, wszystkie nasze marzenia. Uważamy, że Wilnianie mają znacznie głębszy zmysł historyczny, znacznie silniejsze poczucie misji dziejowej Polski, niż mieszkańcy innych dzielnic. Dlatego też naszym dążeniem jest zorganizowanie opinii Wileńskiej, aby w znacznie większym, niż dotychczas stopniu, stała się ona współczynnikiem kształtowania się polskiego życia państwowego. Dążymy do tego aby podnieść klasę i znaczenie Wilna.

Nic więc dziwnego, że odbyte w okresie letnim wybory do Rady Miejskiej żywo interesowały nasz Klub. Wielu naszych członków wzięło w akcji wyborczej żywy udział, niektórzy figurowali na listach jako kandydaci Bloku Gospodarczego Wynik wyborów oceniamy jako pozytywny.

Przedewszystkiem Blok Gospodarczy uzyskał absolutną większość w nowej Radzie Miejskiej, przeprowadzając 34 swoich radnych na 64 ustawowych mandatów. Pozwoli to ugrupowaniu prorządowemu wziąć na siebie całkowitą odpowiedzialność za rozwój gospodarki miejskiej. Jesteśmy przeświadczeni, że szerokie masy wyborców, szczególnie zaś ci, najbardziej dotychczas upośledzeni, wyborcy z przedmieść, nie doznają zawodu. Ludzie Bloku Gospodarczego nie obiecywali przed wyborami cudów, ale też dotrzymają zrealizowania tych rzeczowych postulatów, które były wysunięte jako hasła wyborcze.

W trakcie jednak akcji wyborczej Bloku byliśmy świadkami zgrzytów, które musimy uznać za zjawisko w najwyższym stopniu ujemne i destrukcyjne. Mianowicie w okresie bezpośrednio przedwyborczym wileńskie „Słowo” przeprowadziło nieliczącą się z niczem kampanję, mającą na celu rozbicie wyborców prorządowych na kilka zwalczających się wzajemnie kołeryj. Służyła temu celowi nieprzebiegająca w środkach akcja prasowa, polegająca m. in. na ukuciu nowego pojęcia politycznego „przyjaciół Słowa”, wśród których wbrew swej woli znaleźli się zresztą ludzie nie tylko nie pretendujący do tego tytułu, ale wręcz protestujący przeciw niemu. Po ogłoszeniu wyników wyborów okazało się, że kampanja „Słowa” raczej zaszkodziła popieranym przez się kandydatom, gdyż znakomita większość wysuniętych przez to piswo kandydatów nie weszła do Rady (najbardziej bezsporny „przyjaciel”, administrator pisma, uzyskał mandat dopiero po i dzięki wygaśnięciu mandatu Prezesa naszego Klubu). Jest to dowodem, że ludność naszego miasta coraz bardziej zaczyna nświadczać tę destrukcyjną rolę, jako w ostatnich czasach w życiu wileńskim spełnia „Słowo”.

Jesteśmy świadkami rosnącego osamotnienia organu p. Mackiewicza. Traktujemy to jako zjawisko dodatnie, gdyż w naszym dążeniu do zorganizowania opinii wileńskiej spotykamy się stale z przeciwnością „Słowa”, które grupuje dookoła siebie wszystkich, kto ma osobiste czy też kołeryjne powody do niechęci w stosunku do Klubu Włóczęgow. Usiłując rozbic wszelkie próby zorganizowania opinii Wileńskiej „Słowo”, mimo niewątpliwych błysków talentu swego redaktora, ujawnianych w artykułach na tematy polityki zagranicznej, staje się czynnikiem pomniejszania Wilna.

TEODOR NAGURSKI.

UNION DES ÉTATS SCANDINAVES DES REPUBLIQUES BALTES ET DE LA POLOGNE

Referat wygłoszony na 162-gim zebraniu Klubu Włóczęgow w dn. 30.VII r. b., w obecności gościa Klubu burmistrza Stockholmu — deputowanego Karola Lindhagena.

I. Dans l'Europe contemporaine regne le culte de la force, de la lutte des egoïsmes nationaux. Les temps d'après guerre ont reveillé des nationalismes efrénés parmi les états, dont d'exemple le plus frappant sert l'Allemagne de Hitler, soi disant — „le 3-me Reich“, avec l'idée insensée du racisme.

Cependant le nationalisme avait seduit non seulement les grands états mais aussi des petits. Dans quelques — uns d'entre eux le chauvinisme a de multiples partisans. A travers les republicues baltes passe un mouvement nationaliste assez fort.

Un tel mouvement dans ces états et d'autant plus incompréhensible qu'il mene vers des conflits avec des voisins beaucoup plus forts et déjà aujourd'hui menaçants (Allemagne). Il faut croire que c'est une sorte de maladie contagieuse, une chose évidemment passagère. En regardant l'avenir il faut chercher d'autres idées: pas des idées de guerre (un nationalisme ayant toujours comme conséquence inévitable et logique — la guerre) — mais des idées de paix; pas des procès de differentiation, mais des idées de l'union. L'idée d'une Paneuropa est naturellement une idée belle et saine. Seulement les nations ne sont pas prêtes pour l'accepter. Il faut alors des phases intermédiaires. Ces phases intermédiaires constitueraient, parait-il, les unions regionales des états. Je pense naturellement des groupements des états, fondés,

sur leurs intérêts culturels, économiques, sociaux, — non sur les intérêts d'une politique soi disante defensive, — en réalité belligérante, comme p. ex. le pacte d'un Locarno oriental, lancé recemment par la France.

La nécessité d'un tel groupement dans la partie nord-est de l'Europe se jette aux yeux. Aux bords de la mer Baltique qui était toujours un trait d'union, surtout au point de vue des relations commerciales, se trouvent plusieurs états, profitants des eaux de la Baltique comme d'une route la plus commode et la moins chère. Il y avait dans l'histoire de la mer Baltique plusieurs tentatives de domination exclusive d'un seul peuple. Dans cette lutte pour l'hégémonie sur la Baltique se succédaient: les scandinaves, les allemands, les russes etc. Même aujourd'hui il y a des tendances de la part de l'Allemagne d'obtenir une force prépondérante sur cette mer.

Seulement en outre des grandes puissances, situées sur la mer: Allemagne et Russie, — il s'y trouve un certain nombre d'états moyens et petits, l'intérêt desquels repose sur la liberté complète du trafic sur cette mer. Encore plus: ces états, situés entre l'Allemagne, toujours revant d'un „drang nach Osten“ et la Russie Sovietique s'efforçant à l'aide de la III Internationale de transplanter le communisme à ses voisins, ne peuvent garder leur indépendance économique et politique qu'à condition de s'unir.

Cette nécessité, malgré que son evidence saute aux yeux, n'avait pas jusqu'à ces derniers temps des partisans assez nombreux. L'union des trois

états baltes (Lithuanie, Lettonie, Estonie) ne s'est réalisée, qu'avec beaucoup de difficultés. Quant à l'idée d'une entente plus large — d'une union scandinave—baltique—polonaise, englobant 8 états (Danemark, Norvege, Suède, Finlande, Estonie, Lettonie, Lithuanie et Pologne), elle a été soulevée pour la 1-re fois par Monsieur le Bourgmestre. Lindhagen au parlement suédois il y a plus d'un an, — et elle était vivement discutée dans le monde diplomatique.

Quels sont les possibilités d'une telle union?

Je tâcherai d'esquisser le problème sous les deux points de vue: économique et politique

II. Les relations commerciales entre les 8 états en question n'étaient pas jusqu'à ce dernier temps trop suivies ni intenses. En 1932 et 1933 la Pologne importait des 7 états scandinaves et baltes environ 5% de son importation totale, mais en exportait déjà 15% de son exportation totale. Le Danemark au contraire: importait des états scandinaves, baltes et de la Pologne jusqu'à 13% et en exportait plus que 8%. Suède comptait dans son importation environ 14% et dans son exportation environ 17%. Norvège en avait environ 17% pour importation et 13% pour exportation. Finlande avait environ 20% pour importation et 7% pour exportation. Quant aux républiques baltes, Estonie en 1932 et 1933 importait des états scandinaves, baltes et de la Pologne environ 20% de son importation totale et en avait exporté environ 19% de son exportation totale. Les chiffres correspondants sont pour Lettonie 12% et 8% et pour Lithuanie 12% et 5%.

Des marchandises très différentes constituent ce trafic restreint. Il y a des matières premières, tel le charbon, le bois, les textiles (lin, chanvre), le blé (le seigle), des articles de consommation, comme le sucre, — enfin des produits manufacturés. L'énumération de tous ces articles serait sans doute trop fatigante pour l'auditoire. Qu'il me soit permis seulement de constater qu'il y a des possibilités d'intensifier le commerce entre les 8 pays en question. Chez nous, en Pologne, et surtout ici à Wilno on fait des efforts en vue d'augmenter notre trafic avec les républiques baltes et les états scandinaves. On vient d'organiser à Wilno une filiale de la chambre de commerce scandinave et baltique de Varsovie. Le président de cette filiale se trouve parmi les présents et pourra peut être vous renseigner, Monsieur le Bourgmestre, à ce sujet mieux que moi.

Comme une constatation de ma part au sujet des relations commerciales entre la Pologne, les républiques baltes et les états scandinaves il me reste déterminer ce qui suit:

1. Les traités de commerce existant entre la Pologne, les états scandinaves et baltes doivent être révisés complètement. Une clause spéciale, clause baltique, doit être introduite dans ces traités.

2. Un service maritime régulier doit être établi entre les ports polonais et baltes et les ports scandinaves.

3. Le trafic postal doit être organisé non par l'intermédiaire de l'Allemagne, comme actuellement, mais directement par Tallin — Abo — Stockholm.

4. On doit établir une unité monétaire commune, basée sur l'or.

5. On doit supprimer les passeports pour l'étranger quant aux 8 états intéressés.

6. Comme phase finale de l'union il faut considérer l'union douanière.

III. Au point de vue politique, l'aspect du problème est le suivant: Les 8 états occupent ensemble environ 1.750.000 km², c. à d. un tiers de l'Europe. La population des 8 états compte 53 millions d'habitants ce qui constitue 14% de la population européenne. Par le nombre de la population l'union projetée ne surpasse même pas l'Allemagne, et par conséquence elle n'est pas dangereuse au point de vue militaire.

Malgré cela le rôle politique de l'union projetée serait très important, surtout pour les petits états — membres de l'union. Grâce à elle s'établirait entre 2 grandes puissances — l'Allemagne et l'Union des Républiques Socialistes Soviétiques une force intermédiaire, non négligeable. Les états — membres de l'union balte, représentant une ligne commune dans la politique étrangère, ne pourraient être joués les uns contre les autres au profit d'un tiers de mauvaise foi. La domination des quelques grandes puissances de l'Europe ne serait pas alors si lourde à porter pour les états moins puissants. Enfin, et ce qui est peut être une des choses les plus importantes pour nous — les habitants de Wilno, l'union pourrait faciliter la normalisation des relations entre la Pologne et la Lithuanie. Une de causes fondamentales du différend polono-lithuanien est la crainte des lithuaniens que la Pologne, comme plus forte aussi bien au point de vue de son étendue qu'au point de vue de sa culture, n'exerce trop d'influence sur la jeune culture lithuanienne et n'engloutisse cette dernière. Voilà pourquoi la Lithuanie ne veut pas des relations normales avec la Pologne. De notre part, — nous, les habitants de Wilno, qui sommes du même sang que les lithuaniens de Kaunas, mais qui nous nous considérons comme polonais, qui parlons polonais et qui avons combattu pour l'indépendance de la Pologne à côté des polonais de Varsovie — nous ne voulons point que les lithuaniens chauvins de Kaunas nous forcent à parler le lithuanien à Wilno ou nous persécutent d'une façon telle, dont est persécutée la minorité polonaise en Lithuanie.

Dans la société de 8 états — la crainte d'une part et d'autre pourrait être atténuée d'une façon assez décisive. D'abord — ce serait un coup contre le chauvinisme de quelque côté qu'il vienne. Nous, qui sommes des démocrates, voudrions combattre aussi bien le nationalisme polonais que lithuanien. Nous les considérons comme l'ennemi principal. Voilà pourquoi la bonne nouvelle de votre projet, Monsieur le Bourgmestre, avait trouvée un tel écho à Wilno. Vous serez étonné sans doute, que l'on puisse penser à une solution du différend polono-lithuanien à rebours: d'abord union des 8 états — et par cette union — le règlement du différend. Vous aviez pensé sans doute le contraire: d'abord la normalisation des relations — puis l'union. Nous — les habitants de la ville qui est coupée par la fermeture de la frontière lithuanienne des ses voies d'expansion les plus propices vers la mer, et qui avons fait déjà plusieurs tentatives de rapprochement, sans succès d'ailleurs, sommes d'un tel avis.

Z WYCIECZKI NA LITWĘ

Pan B. Krzyżanowski junior był wilnianinem, który w okresie powojennym pierwszy przebył składakiem drogę wodną z Wilna rzeką Wilją do Kowna, z Kowna zaś do Kłajpedy i morzem do Połagi. Witając z należytym uznaniem ten iscie włóczęgowski wyczyn p. Krzyżanowskiego podajemy niżej wrażenia bohatera tej wyprawy, z odcinka Kłajpedzkiego.

Nadmieniamy, że p. Krzyżanowski odbył tę podróż z Małżonką. *Red.*

W lipcu b. r. żona moja zwana pospolicie Cenna Perłą i ja — wyruszyliśmy na wycieczkę wodną na Litwę. Spłynęliśmy Wilją i Niemnem do zatoki Kurońskiej i Kłajpedy. Kraj ten wydawał mi się dość egzotyczny, jako że prawie nic o nim nie wiedziałem, znałem go tylko z mapy i to słabo. Że Tylża leży nad Niemnem, dowiedziałem się, szczerze mówiąc, dopiero kilka dni przed wyjazdem, a nie wątpię, że większość czytelników dowiaduje się o tem w tej chwili. Będąc już na miejscu, przekonałiśmy się naczynnie, jak silnie ta część Litwy różni się od reszty kraju. To też z całości wycieczki zasługuje na wyodrębnienie to, czemu przyjrzałem się podczas tygodniowego pobytu w kraju Kłajpedzkim na wodach Niemna i zatoki Kurońskiej.

Na Wilji i Niemnie uprawiany z zapałem sport językoznawczy. Polega on poprostu na słuchaniu i notowaniu, gdzie kto jakim językiem mówi. Czasami nie jest to takie łatwe. Na szerokim Niemnie trzeba nieraz jeździć w zygzak z jednego brzegu na drugi, aby w dochodzących zdaleka niewyraźnych głosach wyrozumieć pojedyncze słowa. Uważamy za wartościowe tylko takie informacje, w których nie zaczynamy rozmowy sami, dopóki nie słychać, w jakim języku ludzie na brzegu mówią między sobą. Szczególną uwagą darzymy pastuchów, oni bowiem reprezentują pokolenie najmłodsze, najbardziej interesujące. Zatrzymujemy się koło pasących się na brzegu stad bydła i nastawiamy uszu. Wiosła składamy, aby plusk nie utrudniał nam cennego rozpoznania, w jakim też języku pasterze trzód wymyślają sobie wzajemnie i poganiają swoje bydło.

Stykamy się, jak to nietrudno przewidzieć, pokolei z polskim, litewskim, niemieckim. Języki te prawie nie mieszają się ze sobą, odcinki, na których je słychać, ostro oddzielają się od siebie, i dopiero nad zatoką Kurońską znajdujemy się w kraju o bardziej skomplikowanej strukturze językowej.

I tak: język litewski słychać dopiero na Niemnie, poniżej Kowna, powyżej zaś, na Wilji, język polski panuje prawie niepodzielnie. Przez okolice litewskie na tym odcinku przepływany tylko koło Giegużyszek, dalej zaś, wdół od Janowa, znów otacza nas polszczyzna, z którą się rozstajemy dopiero na przedmieściach Kowna. Nie trzeba stąd jednak wyciągać wniosku, że ta mówiąca po polsku ludność również myśli i czuje po polsku. Zwłaszcza w pasie nadgranicznym, w okolicy Kiernowa, różni młodzi ludzie przyznają wprawdzie, że języka litewskiego nauczyli się dopiero w wojsku, ale mocno podkreślają swoją niechęć do Polski i zadowolenie z tego, że mieszkają na Litwie.

Przebyliśmy tedy polski odcinek Kiernowo — Kowno. Dalej już polska mowa znika zupełnie. Słyszymy ją tylko raz czy dwa w ciągu kilku dni spływania Niemnem przez kraj rdzennie litewski. Nie znam litewskiego, to też w ciągu całego tego okresu milczę, wruszając ramionami, pochrząkując porozumiewawczo i nic nie mogąc wyłowić z wartkiego potoku wymowy mojej Cennej Perły, która wyjęczyła się po litewsku nader żwawo, Wreszcie

jednak z przyjazdem do Smolenik, kończy się moje milczenie.

Owe Smoleniki (po litewsku Smolenikai, po niemiecku Schmolleningiken) jest to punkt, w którym dawna granica niemiecko-rosyjska przecinała Niemen. Teraz granica przebiega tak samo, z tą różnicą, że na południe od Smolenik oddziela Litwę od Prus Wschodnich, zaś północna jej część oddziela Litwę od Kraju Kłajpedzkiego. Granica między krajem Kłajpedzkim a Prusami Wschodnimi biegnie od Smolenik po Niemnie. Jak z tego przydługiego wywodu wynika, jest to punkt ważny, w którym niemoże się obyć bez formalności celnych i paszportowych.

Z wielką ostrożnością, żeby nie narazić się którejs z trzech potęg, zbiegających się w tem miejscu, wjeżdżamy do dość porządnego portu rzeczno i zjawiamy się na posterunku, gdzie władze starają się naszymi informacjami wypełnić wielki formularz celny. Pytają nas pokolei o nazwę statku, nazwisko kapitana, ilość załogi, port macierzysty i towary, -które wieziemy. Na wszystko odpowiadamy bez zająknięcia, przeskakując od czasu do czasu z niemieckiego na litewski i rosyjski. Dźwięczna nazwa naszego kajaka „Agonja“ nie zyskuje wielkiego uznania, ale zostaje zanotowana gdzie potrzeba. Kapitanem zostaje ja. Szczegółowo wymieniamy towary, zawarte w naszych plecakach, począwszy od namiotu i swetrów, a kończąc na sześciu jajach, boczku wędzonym i maszynce do golienia. Przepustki nasze zostają zalepione w urzędowej kopercie, poczem zwraca się je nam w tem niedostępnym opakowaniu. Nie obeszło się również bez upomnień, żebyśmy jechali prawą litewską stroną rzeki i nie lądowali na niemieckim brzegu.

Wychodzimy z urzędu i tuż na miejscu przekonywamy się o zupełnej zmianie charakteru kraju. Na restauracji oko nasze szuka napróżno jakiegoś litewskiego napisu, natomiast zakład ten jest opatrzone kilkoma solidnymi szyldami niemieckimi. Od progu już wołam gromko „rugsta piana“. („kwaśne mleko“ — porobiłem bowiem znaczne postępy w litewskim), aliści spaśny Niemiec rozkłada bezradnie ręce i robi minę, jakiej mógłbym się spodziewać, mówiąc po hiszpańsku do kelnera u Sztralla. Znać w niej jakgdyby politowanie nad człowiekiem, któremu przyszło do głowy używać jakiegoś niesłychanego języka w tak przyzwoitym lokalu, jakim jest restauracja w Schmolleningken.

Po tej lekcji pogładowej wyjeżdżamy z portu i wpływamy na Niemen — rzekę międzynarodową. Za pierwszą i najpilniejszą sprawę poczytujemy oczywiście przejechanie na drugą stronę i wylądowanie na niemieckim brzegu.

Rzeka międzynarodowa zmienia aspekt w porównaniu ze swoim górnym biegiem i rzeczywiście wygląda okazale. Przedewszystkiem ruch wzmagają się znakomicie. Statki osobowe, holowniki, barki, widać coraz częściej w miarę, jak zbliżamy się do

Tylży. Tratwy natomiast ukazują się zrzadka. Wszystkie te ruchomości wodne są opatrzone banderą państwową ma maszcie lub na rufie, przy czem znakomicie przeważa ilość hackenkreutzów, chociaż flagę litewską widać też dość gęsto. Obok hackenkreutza znajduje się zwykle czarno-biało-czerwona chorągiew cesarska. Wobec takiego stanu rzeczy z niemałą ostentacją wywieszamy na sterze naszego kajaka zmajstrowaną naprędce chorągiewkę o barwach polskich. Niestety, nie wywierają one należytego wrażenia, gdyż biorą ją powszechnie za oznakę klubową. Z tego też powodu zdejmujemy ją wkrótce.

Splendoru dodaje rzece jeszcze to, że jest ona porządnie uregulowana. Szczególnie powyżej Tylży całymi kilometrami ciągną się solidnie wykonane kamienne ostrogi i umocnienia brzegów. Podobną regulację, tylko na mniejszą skalę, widzieliśmy w Kownie.

Okolice wydają się nam dość bezludne. Z mapy widać, że tak w istocie nie jest, a wrażenie to powoduje brak większych osiedli po brzegach. Na stukilometrowym odcinku, po którym granica biegnie Niemnem, niema na litewskim brzegu ani jednego miasteczka. Po stronie niemieckiej jest Ragnit i Tylża, skupione obok siebie, a potem też pustka. Drobne wsi i folwarki schowane są w zarostach, albo zasłonięte przez wysokie szuwary, porastające brzegi coraz gęściej w miarę, jak rzeka zbliża się do ujścia. Okolica ma więc wygląd dość smutny. Początkowo widzi się sporo lasów, które jednak nie dochodzą blisko do rzeki. Okolice Tylży i Ragnit są bardzo ładne i stanowią jakby wyspę na tle ogólnego krajobrazu, ale potem nuda zaczyna się coraz bardziej beznadziejna. Sama Tylża jest mocno uprzemysłowiona i stanowi piękny okaz miasta rozbudowanego frontem do rzeki, co tak rzadko zdarza się widzieć w Polsce. Mamy wielką ochotę wylądować w niej i wysłać list do Wilna, ale uznajemy to przedsięwzięcie za nieco ryzykowne.

Z zapałem myśliwych tropiących zwierzynę, myszkuje po rzece, chcąc usłyszeć z brzegu chociaż słówko po litewsku. Nie udaje się to może z tego powodu, że wogóle mało ludzi spotyka się po litewskiej stronie. Natomiast kilkakrotnie stwierdzamy kupując żywność, że ludzie nie tylko mówią między sobą po niemiecku, ale nie rozumieją wcale litewskiego. Dopiero nad samem morzem natykamy się znów na język litewski, którego na przestrzeni od Smolenik do Rusnie (Russ) nie słyszeliśmy ani razu.

Mówiąc o Rusnie należy wyjaśnić, że jest to miejscowość już bardzo bliska ujścia, w której granica schodzi z Niemna w lewo na odnogę Skirwieth. Zatem oba brzegi Niemna znów stają się litewskie, i w związku z tem nasze „liudymasy“ mają tu zostać oswobodzone z koperty, w której je wieziemy od Smolenik. Jesteśmy przygotowani na dłuższy ceremoniał, towarzyszący temu aktowi, ale odbywa się to wszystko nader szybko. Przechodzący brzegiem policjant poprostu drze kopertę i wyrzuca ją, a nam oddaje przepustki.

Nazajutrz rano, po burzy przeczekanej w namiocie, wykańczamy ostatnie kilometry Niemna. Prąd zupełnie prawie ginie, z za sitowia i wysokiej trzciny widać co chwila jakieś zalewiska, zatoki i odnogi, łączące się ze sobą w skomplikowaną sieć. Gdzieś w prawo musi być przejście do kanału, który łączy ujście Niemna z Kłajpedą

i którym moglibyśmy płynąć, gdyby zatoka okazała się burzliwa. Wreszcie brzegi rozszerzają się łagodnie i majaczy przed nami szeroki przestwór.

Wypłynięcie z rzeki na mizerne nawet jezioro zawsze daje mi chwilę radości i szerokiego oddechu. Tu wypływamy prawie na morze. Na lewo, gdzie zatoka się rozszerza, rysuje się przed nami autentyczny morski horyzont. Przed nami w mgiełce oddalenia widać żółtą mierzeję z ciemnymi plamami lasów. Na szczycie jednej z nich maleńki, ledwo dostrzegalny pręcik — to latarnia morska w Nidzie. Decydujemy machnąć tam odrazu napoprzek przez zatokę.

Przy dość przychylnym wietrze idzie nam to gładko i szybko, ale niezbyt sobie upodobawszy samą Nidę, krótko w niej popasamy. Zbyt wiele tam hoteli i pensjonatów, tak, że cierpi na tem rybacki charakter wsi. Skoro jeszcze okazuje się, że za obiad w restauracji trzeba płacić niesłychaną ilość litów, szybko startujemy na północ wzdłuż mierzei.

Ten odcinek drogi okazuje się bardzo przyjemny. Rybackość wsi, do których zajeżdżamy, jest stuprocentowa: czarne, osmolone łodzie, sieci, flondry suszące się na płotach, litewska gwara rybacka, twarda i najeżona gardłowymi germańskimi dźwiękami. Sporo czasu trawimy, wyciągając spotkanych na wodzie i na brzegu rybaków na rozmówki na różne tematy, a przy odjeździe Cenna Perła zwykle układa w dziobie kajaka podłużną paczkę, zawiniętą w liście łopianu. Zawartość jej jednak szybko znika, jako że są to wędzone węgorze.

Owe litewsko niemieckie rozmówki zaciekwiają nas mocno. Wszyscy bez wyjątku mówią tam po litewsku i nawet w użytku domowym język ten ma wyraźną przewagę, nikt się jednak nie przyznaje do litewskości. Wszyscy w czambuł uważają się za Niemców, życzą sobie powrotu niemieckiej ojczyzny do Kłajpedy i wymyślają na Litwę, nie zostawiając na niej suchej nitki. Interesujemy się, skąd znają litewski język, tak dobrze, że mówiąc z żonami i dziećmi, posługują się nim conajmniej narówni z niemieckim. Odpowiadają wymijająco, że skoro handlują rybą z Litwą, to muszą także umieć po litewsku. Nie tłumaczy to jednak, dlaczego małe dzieci, które nie zdążyły się jeszcze zająć handlem i nawet nie chodzą do szkoły, — jak ptaszki, szczebiocą po litewsku. Nie ulega bowiem wątpliwości, że ani jednej bony litewskiej w chatach rybackich nie spotkaliśmy. Skoro się okazuje, że jesteśmy Polakami, pytają, czy to prawda, że Polska ma zająć Kowno, a Niemcy Kłajpedę, lub też że Polska zabierze Kłajpedę za korytarz oddany Niemcom. Nie ukrywają przytem swego aprobowanego stanowiska wobec tych pomysłów, z których my oczywiście kpimy bez ceremonji.

Dziwi nas, że te tak otwarcie antypaństwowe zdania wygłaszane są z zupełną swobodą, głośno, bez obawy przed nami, ludźmi obcymi. Nasze delikatne aluzje na temat przejażdżki do obozu koncentracyjnego w Worniach nie robią wrażenia. Przypuszczam, że w Polsce przedstawiciele mniejszości narodowych byłiby bardziej ostrożni w rozmowie na podobnie ryzykowne tematy z człowiekiem, widzianym po raz pierwszy. Wskazywałoby to, że ów słynny ucisk litewski w Kłajpedzie nie jest znów tak straszny, jak go malują.

Po przebyciu tym trybem kilkudziesięciu ki-

lometrów i spożyciu kilkunastu węgorzy, dobijamy do Juodkraute (Schwarzort). Tam łapie nas mgła, tak, że nic ciekawego, oprócz nowej porcji pensjonatów i lotnisk, nie możemy zauważyć. Dalej trzymamy się ściśle brzegu i nie widzimy nic, oprócz suwarów.

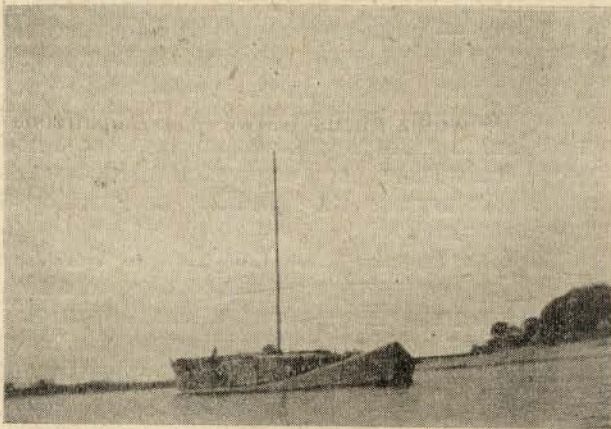
We mgle i poomacku wpływamy do Kłajpedy. Drżymy nie tylko z zimna, ale i ze strachu, aby nie wpaść pod statek. Z szarego tła wyłania się powoli ciemny kształt i wita nas hitlerowskim haczenkreuzem. Kończymy nasze studia językowe, notując głosy niemieckiej komendy.

TEODOR NAGURSKI.

CZY DŹWINA JEST ŻEGLOWNA*)

Na marginesie ekspedycji kajakowej Klubu Włoczęgów Druja Ryga w składzie następującym: Dr. Stanisław Świaniewicz p. Józef Zajkowski, p. Krzysztof Teslar, p. Michał Teslar, p. Teodor Nagurski.

Problem żeglowności Dźwiny znajduje się od 2-ech lat na porządku dziennym zainteresowań zarówno społeczeństwa jak i samorządu gospodarczego ziem Półn.-Wschodnich. Ostatnio żywy udział w roztrząsaniu tej kwestji wzięła Izba Skandynawsko-Bałtycka, oddział w Wilnie, w łonie której ustalono potrzebę bliższego zapoznania się ze stroną praktyczną problemu. W tym celu zo-



Ekspedycja kajakowa Druja—Ryga. Barka natadowana smolakami niżej Krastawki
 fot. T. Nagurski.

stała zorganizowana w sierpniu r. b. ekspedycja kajakowa Klubu Włoczęgów w składzie 5 osób Dźwiną z Drui do Rygi. Ekspedycja za punkt wyjścia wzięła Druję ze względów zrozumiałych: przecież zagadnienie budowy portu rzeczno-wileńszczyzny w tej właśnie miejscowości — stanowi najważniejszy powód badania żeglowności Dźwiny. O problemie Drui mówiono już dostatecznie dużo, dlatego też ograniczę się do zaznaczenia, że Druja-port jest wyrazem dążeń Wileńszczyzny w kierunku zbliżenia się do morza, w kierunku otwarcia sobie drogi ku wielkiemu międzynarodowemu szlakowi handlowemu, jakim jest Bałtyk. Z głuchego zaułka, w jakim po wojnie znalazła się Wileńszczyzna dzięki specyficznej strukturze społecznej i gospodarczej Rosji oraz dzięki polityce dławienia Wilna ze strony Litwy, usiłuje ona ułatwić sobie komunikację przez jedyny mniej-więcej „przepuszczalny“ odcinek graniczny, — ja-

kim jest odcinek łotewski. Jedna linja kolejowa na Turmont i Zemgale nie wystarcza, gdyż transport kolejowy dla artykułów masowych (drzewo, len), jest zbyt drogi, w dodatku sprawnej komunikacji między kolejami polskimi a łotewskimi stoi na przeszkodzie różnica szerokości torów. Dla zwiększenia wymiany handlowej przez ten odcinek niezbędnym jest wykorzystanie drogi wodnej. Druja, połączona ostatnio koleją normalnotorową z siecią P. K. P. jest niewątpliwie najlepszym punktem dla budowy portu rzeczno-g. I tu powstaje kwestja zasadnicza: czy wobec zakwestjonowanej żeglowności Dźwiny port w Drui ma być wyłączony t. zw. bindugą dla tratw, czy też ma być przygotowany do roli większej: — do roli portu rzeczno-g, obsługującego barki a nawet statki. Wprawdzie podejmowane były głosy w wielkiej dyskusji na temat Drui i Dźwiny, że rzeka ta nie nadaje się nawet dla spławu, były to jednak głosy odosobnione. Zresztą poniższe wywody naświetlą całość zagadnienia, a więc obejmą i sprawy spławu.

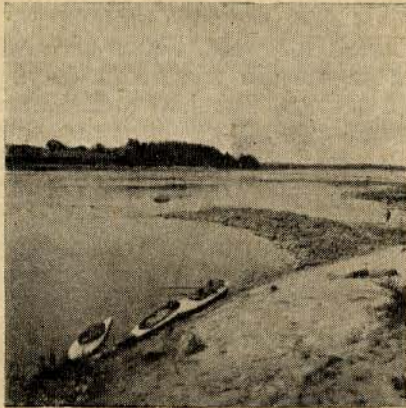
Pierwszy krok w kierunku zetknięcia się bezpośredniego z rzeczywistością dźwińską (dotychczasowe dyskusje miały charakter wybitnie akademicki: nikt z dyskutujących praktycznie z Dźwiną się nie zetknął) został wykonany przez Klub Włoczęgów w składzie 5 osób w dniach 11—20 sierpnia r. b. Z Wilna dostaliśmy się do Drui pociągiem nie przez Woropajewo (komunikacja osobowa tą drogą okazała się mniej dogodna) lecz przez Dukszty i dalej kolejką wąskotorową via Braślów — do Drui. Droga trwała 7 godzin, t. j. tyle, co pociągiem pośpiesznym do Warszawy, co nie świadczy dobrze o organizacji komunikacji Wilna z Drują. W Drui formalności celne i paszportowe zabrały nam połowę jednego dnia i rano drugiego dnia, jednakże winę tego poniosły wyłącznie nasze i łotewskie nieszczęśliwie pomyslane przepisy celne, ułożone widocznie w taki sposób, aby najbardziej obrzydzić podróżyom prze-



Ekspedycja kajakowa Druja — Ryga.
 Kościół w Krastawce
 fot. J. Zajkowski.

*) Niniejszy artykuł stanowi jedynie szkic do większego opracowania na temat zbadania Dźwiny na odcinku Druja — Ryga, przygotowywanego przez p. Świaniewicza, Nagurskiego i Zajkowskiego. Opracowanie to ukaże się w kolejnym wydaniu „Biblioteczki Włoczęgi“.

kraczenie granicy. Ze strony personelu celnego zarówno polskiego jak i łotewskiego — spotka-
liśmy się ze wszelkimi najdalej idącymi ułat-
wieniami. Jeśli nadmieniam o długotrwałości for-
malności — to wyłącznie w celu wskazanie na po-
trzebę reform w tym kierunku. Istniejące przepisy
zdolne są sparaliżować w sposób niezawodny
wszelką działalność handlową.



*Ekspedycja kajakowa Druja — Ryga.
Początek wodospadu „Pieduta” przed
Plaviras*

fol. J. Zajkowski.

Z Druji wyruszyliśmy rano w poniedziałek
13-go sierpnia we trzy kajaki, kierując się z bie-
giem rzeki. Pod Drują Dźwina jest szeroką (około
400 m.) i dość głęboką rzeką o wysokich, ale
stosunkowo łagodnie spadających ku wodzie brze-
gach. Mimo niskiego poziomu wód (połowa sier-
pnia i to przy tak długotrwałej suszy jak w tym
roku) kamienie są widoczne tylko przy brzegach,
zaś główny nurt jest wolny od przeszkód. Prąd
słaby, nie wytrzymujący porównania nie tylko
z prądem Wilji pod Wilnem, lecz nawet dolnej
Wisły. Słabość prądu jest zresztą charakterystycz-
na dla Dźwiny w całym jej biegu: widzieliśmy
później barki holowane końmi nie tylko pod prąd,
lecz i z prądem.

Płynęliśmy zrazu nurtem granicznym, mając
na lewym brzegu Polskę, na prawym zaś Łotwę.

Po przebyciu pierwszych sześciu km., Dźwina
weszła na terytorjum łotewskie całkowicie. Przyjmuje
ona tu kilka dopływów, nie mających jednak większe-
go znaczenia. Wogóle należy zauważyć, że prawie
wszystkie dopływy Dźwiny na terytorjum Łotwy
stanowią rzeczki małe. Największe z nich jest Aj-
vekszte, wpadające pod Plavinas.

Na przestrzeni od Druji do Krasławki Dźwina
płynie równo i spokojnie, wśród pochyło wznie-
sionych brzegów. Zakrętów jest niewiele. Za Kra-
sławką, która jest nawpół polskim miasteczkiem,
(n. b. aż do Iłukszty rozmawialiśmy dość często
z ludnością polską) przejeżdżaliśmy przez pierwsze
przeszkody, które stanowiły kamienie, rozsiane
po całej rzece. Przeszkoda ta była jednak całkiem
do przebycia nie tylko dla naszych kajaków, lecz
również dla barek, naładowanych smolakami i drze-
wem opałowym, a holowanych do Krasławki. Na
przeźwyci od Druji do Dyneburga Dźwina jest
nie tylko spławna, ale i żeglowna. Przed wojną od-
bywała się na tym szlaku nawet komunikacja za
pośrednictwem statków parowych.

Bliżej ku Dyneburgowi brzegi Dźwiny ob-
niżają się, miejscami stanowiąc piaszczyste plaże.
Rzeka jest tutaj już dużo szersza, niemniej głębo-
kość jej pozostaje najzupełniej wystarczająca dla
żeglugi. Pierwsze większe mielizny spotykają się
zaledwie koło Liksny — miejsce urodzenia Emilji
Plater a więc już dobrze za Dyneburgiem.

Spogląda ku nam ku Dźwinie ta Liksna czer-
wonym gotyckim kościołkiem i bielą zabudowań
dworskich. Podobno cała posiadłość jest dzisiaj
rozparcelowana.

Przeszkód niema na naszej drodze aż do Li-
vani (Lievenhof). Przybywamy tam pod koniec 3-go
dnia podróży. Należy zaznaczyć, że naogół posu-
wamy się wolno: robimy przeciętnie 60 km. dzien-
nie, a to spowodu częstego zatrzymywania się,
rozmów z ludnością, badań głębokości rzeki i t. p.
Nasza przeciętna szybkość wynosi 6 km. na go-
dzinę.

Koło Livani minęliśmy większe transporty
traw, złożonych z drzewa sowieckiego. Tratwy
idą długim sznurem — całym transportem. Są
przeznaczone dla Rygi. Na niektóre z nich skła-
dają się same okrągłaki. Inne znowu zawierają
drzewo nawpółobrobione — t. zw. slipry. Tratwy
głęboko siedzą w wodzie, jednakże według oświad-
czeń pilotów — przejdą przez wszelkie „porohy“
dźwińskie. O nakazanej ostrożności świadczy to
tylko, że zamiast dwóch ludzi na tratwie, jak to
zwykle bywa, mamy tutaj po trzech lub po czterech.
Również każda tratwa jest zaopatrzona w 4 stery.
Wszyscy tratwiarze są obywatelami łotewskimi
i przyjęli transport na Dźwinie, na granicy łot-
ewsko-sowieckiej.

Otóż i pierwsze przeszkody, czyli t. zw. „po-
rohy“. Rzeka rozlewa się tu szeroko, blisko na
kilometr. Formuje ona pośrodku rzeki wyspę. Na
lewo od wyspy stoją charakterystyczne dla Dźwiny
drewniane trójnogi, używane przez rybaków. Za-



*Ekspedycja kajakowa Druja — Ryga.
Kajaki w trakcie przebywania wodo-
spayu „Prieduta“. Na 1-ym planie
„Pancernik“ ze St. Świaniewiczem na
dziobie. 2-gi skolei „Włóczęga“ z
Teslarami (na chwilę przed kata-
strofą). Na czele „Smyk“ z T. Na-
gurskim*

fol. J. Zajkowski.

gradzają one całą lewą odnogę. Odnoga prawa jest
wolna: woda tam leci z dużą szybkością wzglę-
dnie wąskim korytem. Zdaleka widać spienione fale.
Gdy przejeżdżamy, w pewnym miejscu widać wy-
raźnie, że woda raptem spada o jakieś 20-30 cm.
Jest to „próg“, czyli w tym miejscu przez całą

szerokość rzeki przechodzi krawędź skały, przez którą przelewa się rzeka. Poroh nazywa się „Dubok I“. Jest jeszcze ich kilka po drodze do Jekabpilsa. Wszystkie one są łatwe do przebycia. Mimo niskiego poziomu wody i tratwy i barki przebywają je z łatwością. Od tratwiarzy wymagana jest jednak pewna zręczność sterowania. Byliśmy świadkami, jak jedna z tratw, przebywszy już szczęśliwie poroh „Dubok II“, dzięki błędowi sterni-

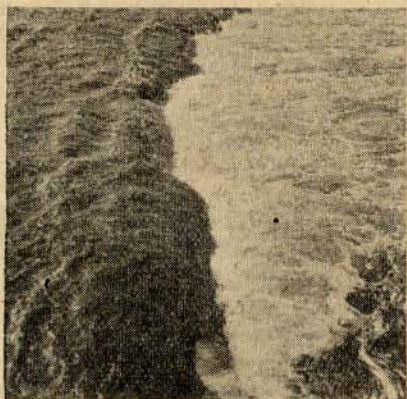


*Ekspedycja kajakowa Druja — Ryga. Dźwina pod Plavinas. Wodospad „Gruba“. Na skale, z lewej strony stoi J. Zajkowski
 fot. T. Nagurski.*

ków została zanieśiona przez prąd, który tutaj jest nieco silniejszy, na kamienie najbliższej wyspy. Spowodowało to zatrzymanie się całego transportu, który n. b. szczęśliwie z tym jednym wyjątkiem przebył porohy, celem ściągania wspólnymi siłami osiadłej na kamieniach tratwy.

Czwartego dnia podróży przebywamy wreszcie do Jekabpils, położonego na lewym brzegu Dźwiny. Naprzeciwko na prawym brzegu malowniczo rozłożyło się miasteczko Krustspils (Krzyżbark) Od Jekabpils mają się zacząć największe porohy, odległe od tego miasta o kilkanaście kilometrów.

Krajobraz zmienia się. Brzegi miejscami noszą charakter urwisty. Całe dno rzeki, jak również



*Ekspedycja kajakowa Druja — Ryga. Główny poroh wodospadu „Gruba“, sfotografowany z góry, ze szczytu nadbrzeżnej skały
 fot. J. Zajkowski.*

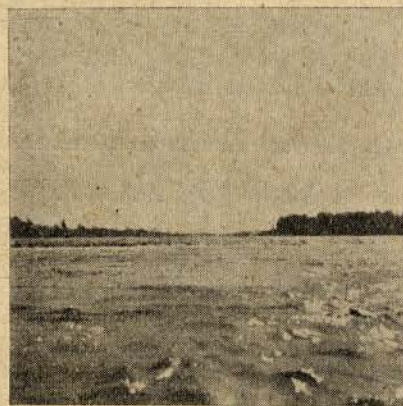
i wybrzeża, pokryte są drobnymi, średnimi i wreszcie wielkimi kamieniami. Łądowanie ożliwem

jest tylko w obuwiu. Miejscami wychodzi na brzeg równa lub postrzępiona płyta skalna.

Zaraz za Jekabpils zaczynają się drobne wodospady. Główny nurt z szumem i w dość dużych falach — przerzuca się z brzegu na brzeg. Trzeba dobrze uważać przy sterowaniu.

Charakter rzeki przypomina Wilję pod Sojdziami, oczywiście odpowiednio powiększoną. Brzegi są kręte, pagórkowate, zalesione. Całe zwały kamieni przy brzegach, zatopionych przy większej wodzie, teraz sterczących w kształcie półwyspów, utrudniają lądowanie. Kilkanaście kilometrów niżej Jekabpils, po przejechaniu pod mostem kolejowym, zaczyna się nowa serja porohów. Woda huczy tu silniej, niż gdzieindziej. Huk ten tłumy zupełnie nasze okrzyki. Przejeżdżamy teraz jeden z dwóch największych wodospadów — „Prieduła“ ciągnący się na przeszeni około 2 km i spadający kilkunastu skalistymi progami ku Plavinas. Wzburzone fale zalewają i wywracają jeden z kajaków. Przy okazji ratowania dwóch naszych towarzyszy mogliśmy stwierdzić, że głębokość Dźwiny nie pozostawia tu nic z punktu widzenia żeglowności — do życzenia. Jedynie takie kruche narzędzia żeglugi, jak nasze kajaki, są narażone na pewne niebezpieczeństwo spowodu wysokich fal.

Inaczej przedstawia się sprawa z następnym — największym już wodospadem, znajdującym się



*Ekspedycja kajakowa Druja — Ryga. Wodospad „Gruba“ widzimy z dołu rzeki
 fot. J. Zajkowski.*

w samym miasteczku Plavinas, a zowiącym się „Gruba“. Nad tym porohem, rzeczywiście groźnym — spędziliśmy cały prawie dzień, dokładnie badając jego cechy charakterystyczne. Rzeka spada tu z 5 bodaj stopni w dół, przytem jeden z nich ma wysokość ponad 80 cm. Na prawym brzegu wznosi się wysoka skała, na której położone jest miasteczko Plavinas. Brzeg lewy zarzucony jest zwałami wielkich kamieni. Bliżej lewego brzegu woda rozerwała nieco skaliste „porohy i rwie kłębiącym się wałem w dół. Trzeba dobrej znajomości koryta rzeki, by przeprowadzić tu tratwę lub barkę. Skała sterczy tu w wielkiej ilości wypadków tuż pod powierzchnią wody.

Po minięciu Plavinas rozpoczyna się szerokie i płytkie rozlewisko rzeczne. Tutaj również istnieje niebezpieczeństwo dla tratwy lub barki, gdyż kamienie sterczą gęsto, zaś nurt przerzuca się z brzegu na brzeg. Miejscami są i wodospady, jednakże znacznie mniejsze, niż Prieduła lub Gru-

ba. Brzegi Dźwiny są tu wyjątkowo malownicze: tworzą je pionowo opadające skały, pokryte u góry lasem. Pod względem turystycznym spieniona rzeka, wijąca się pośród takich brzegów z rykiem — jest wyjątkowo ciekawa. Pod względem żeglowności — te 20 km. od Prieduły ku Koknese —



Spluw Klubu Włóczegów Druja — Ryga. Sniadanie na skale między Jaunjelgava a Ogre. Od lewej. J. Zajkowski, St. Swianiewicz, M. Teslar, K. Teslar. Na drugim planie barka dwumasztowa

fol. T. Nagurski.

są niebezpieczne. Przy niskiej wodzie, takiej, jaka to bywa w sierpniu, można zaryzykować twierdzenie, że żegluga na tym odcinku jest niemożliwa. Nie dotyczy to zastrzeżenie, oczywiście, splawu.

Przed Koknese następuje zona dość długa, spokojnej wody. Rzeka jest głęboka i cicha, nieco zwężona. Taki stan trwa do Jaunjelgawa (Friedrichstadt), po minięciu którego, Dźwina zaczyna rozlewać się coraz szerzej i staje się coraz płytszą. Realne przeszkody dla żeglugi mają miejsce jednak dopiero między Lielvarde i Ogre, gdzie jednak obserwowaliśmy nie tylko tratwy, lecz i kursujące żaglowe barki. Niżej Ogre rzeka staje się coraz bardziej spokojna i głęboka.

Koło Salaspils następuje rozdzielenie się Dźwiny na 3 koryta. Są one niemniej żeglowne. Najlepiej nadaje się do żeglugi skrajnie prawe.

Na tym odcinku mamy do przebycia już tylko jeden (ostatni) poroh, leżący na 30 m. od Rygi. Jest to duży, mający ponad 60 cm. wysokości próg skalisty, przerwany przez wodę przy prawym i lewym brzegu rzeki. Barki nie mają żadnych trudności przy przebywaniu tej przeszkody.

7-go dnia podróży przybyliśmy do Rygi. Ostatnie 30 km. jechaliśmy rzeką szeroką na 1 km., cichą, spokojną o niedostrzegalnym prawie prądzie. Robiliśmy bilans podróży. Odpowiedź na obchodzące nas pytanie co do żeglowności Dźwiny wypadła w sposób następujący:

Dźwina jest splawną w ciągu całego sezonu, wolnego od lodów. Natomiast żegluga jest uniemożliwiona w sezonie płytkiej wody: mniej więcej od połowy lipca do końca września. Wiosną według świadectw miejscowej ludności — Dźwina nadaje się również do żeglugi. Niebezpieczeństwo porohów jest stanowczo przesadzone.

O STUDJUM ROLNE.

Przed paru miesiącami, w okresie wakacyjnym, opinia publiczna została zaskoczona wiadomością o zamierzeniach Min. W. R. i O. P. zlikwidowania Studium Rolniczego na U. S. B. ta niespodzianka nie tylko poruszyła rolnictwo ziem północno-wschodnich, z których rozwojem gospodarczym działalność studjum jest ściśle związana, lecz także głośnie echem odbiła się daleko poza granicami naszych województw.

W licznych wystąpieniach protestacyjnych, które skierowane zostały przez organizacje rolnicze i społeczne do władz, podkreślana była wielka zasługa tej uczelni zarówno dla życia gospodarczego pół-

nocno-wschodnich województw, jak też i dla całości naszego państwa, zważywszy chociażby tylko na ściśle związany z studjum z zakrojoną na skalę ogólnopolską akcją Inniarską.

Klub Włóczegów, solidaryzując się całkowicie wystąpieniami protestacyjnymi, jakie poszły pod adresem Min. W. R. i O. P. oraz Min. Rol. i Ref. Rol., ze swej strony daje wyraz wielkiemu zdziwieniu, że podobna koncepcja, godząca w tak niezmiernie ważną placówkę wyższego szkolnictwa zawodowego na upośledzonych pod względem gospodarczych terenach, mogła powstać tak nagle i wbrew opinii, w danym wypadku wyjątkowo jednomyślniej, całego miejscowego społeczeństwa.

C. J. F.

METODA HISTORYCZNA

Pewne bardzo popularne pismo, czytane pilnie przez całą elitę intelektualną, od profesorów uniwersytetu zaczynając, a na pensjonarkach kończąc, krótko powiedział „Kino“, wprowadziło ciekawą rubrykę, przypominającą czytelnikom, jakie filmy wyświetlano w Polsce przed pięćmi laty. Kinomani czytają i przeżywają dawne wzruszenia, czynią porównania z obecnym stanem rzeczy i uważają, że dawniej było lepiej. Jeszcze chytrzej postąpiły „Wiadomości Literackie“, które wykorzystały swój podeszły wiek i przedrukowały poprostu to, co drukowały przed dziesięćmi laty. Tu już uważny czytelnik może ocenić nietylko sta-

łość kierunku „Wiadomości“, ale i wpływ, jaki to pismo wywarło na bieg życia współczesnego. Równie chytrze postępują ci publicyści, którzy chętnie cytują własne artykuły z przed wielu lat, pokazując, że dzieje świata potoczyły się przez nich wytkniętymi torami. System ten działa pouczająco i uwydatnia zdrowy rozsądek danego publicysty.

Uważam, że należy sięgnąć znacznie dalej, niż „Kino“, „Wiadomości“ i publicyści. Trzeba zajrzeć w zakamarki historii, przypomnieć sobie, co się działo sto lat temu, albo i więcej. Trudno mi w tym wypadku cytować własne artykuły, cho-

ciażby nawet bardzo tego pragnął. Ale pożytecznie bywa np. przeczytać sobie D-ra St. Morawskiego „Kilka lat młodości mojej w Wilnie“. Książka ta przed kilku miesiącami potaioła o 70 proc., co jest wypadkiem nietylko ważniejszym, niż jej drugie wydanie, ale nawet ważniejszym, niż wogóle jej wydanie po dawnej cenie. Co z tego, że ktoś wyda książkę, jeśli jej nikt nie może kupić. Ten właśnie ważny wypadek uzasadnia mówienie o niej teraz, w dziesięć lat po jej wydaniu. (Też przyczynek do kroniki z przed dziesięciu lat: Ukazała się na rynku księgarskim książka Morawskiego, ale jej nikt nie kupił z powodu wysokiej ceny. Społeczeństwo było zmuszone ograniczyć się do przeczytania egzemplarzy recenzyjnych i samych recenzyj).

Zobaczmyż, jak wyglądali w ówczesnym Wilnie np. akademicy, przyszła, jakbyśmy ją teraz nazwali, elita:

„W Uniwersytecie coś czapką podóczas rzucił, toś na ogromny wąż, porządną marszczkę na twarzy, lub siwiejący łeb natrafił. Na półtora tysiąca uczniów Uniwersytetu ledwie nas było piętnastu — dwudziestu dzieci, smarkaczów, co się jeszcze nie domyślali brody, a każdy się dziwił, żeśmy w tak młodym wieku potrafili ukończyć szkoły. Oczywiście, że w takim tłumie silnych, czerstwych, we wszystkie życia potrzeby wtajemniczonych ludzi, wielka ilość musiała być zebranych, a mała wybranych. Osobliwie kiedy tytuł akademika osłaniał przed okiem policji często swawolne lub naganne życie. Kiedy dosyć było 15-go września stawić się przed rektorem i dziekanem, żeby od jednego dostać prawem przepisane „comparuit“, od drugiego świadectwo akademika, a na lekcje dlatego nie chodzić. Tak się więc pod tytułem akademików namnożyło burdów, kłótników, łotrów, rozpustników i pijaków, że władza uniwersytecka sama uznała, iż na ich utrzymanie w karbach brakło jej zupełnie siły”.¹⁾

Szukajmy porównania i nauki. Rzecz jasna, że postęp jest olbrzymi i społeczeństwa akademickie porównać się już nie dają. U nas, coś czapką rzucił, toś na dzieciaka, smarkacza, co się jeszcze nie domyśla brody, natrafił. I jest stanowczo mała ilość zebranych, a wielka wybranych. A czy widział kto wśród naszych akademików burdów, kłótników, łotrów, rozpustników i pijaków? Przenigdy!

Gdy już mowa o zebranych i wybranych, przychodzi mi na myśl aktualny znowu temat: wybory. Wierny swej „metodzie historycznej“ szukam dalej aktualnych porównań w wiarogodnych źródłach z przed stu lat.

Oto r. 1827 — znajdujemy się w wielkim mieście Eatanswill w czasie wyborów członka parlamentu. Dla informacji podaję, że miasto to leży w Anglii, bliższych danych brak nietylko mnie, ale i autorowi cytowanego dzieła.²⁾

„Czy wszystko gotowe?“ zapytał następnie szanowny Samuel Slumkey pana Perker.

„Gotowe, kochany panie“ odparł mały człowieczek.

¹⁾ Dr. Stanisław Morawski „Kilka lat młodości mojej w Wilnie (1818 — 1825)“ wydali Adam Czartkowski i Henryk Mościcki. Warszawa, 1924. Instytut Wydawniczy „Biblioteka Polska“, str. 227-8.

²⁾ Karol Dickens „Klub Pickwicka“. Powieść. Warszawa. Biblioteka Wielkich Pisarzy. 1930 str. 152, 155, 156.

„Spodziewam się, że nie nie zapomniano?“

„Nie, kochany panie, żadnej nawet drobnostki. Jest dwudziestu dwóch ludzi, należycie wymytych, którym pan uściśniesz rękę we drzwiach; jest sześcioro dzieci na rękach matek, które pan pogłaszczesz po głowie i o które spytasz, pan, ile mają lat. Zwłaszcza pamiętaj pan o dzieciach, kochany panie. Takie postępowanie sprawia dobry efekt“.

„Pomyślę o tem“, rzekł szanowny Samuel Slumkey.

„A może tak pan, kochany panie“, dodał przewidujący mały człowieczek, „może pan będzie mógł... nie mówię, aby to było konieczne... ale gdybyś pan mógł zdecydować się ucałować jedno z dzieci, toby wywarło ogromne wrażenie“.

„Czy nie byłby ten sam skutek, gdybyś pan się podjął tego?“ zapytał pan Samuel Slumkey.

„Obawiam się, że nie, kochany panie. Ale gdybyś pan sam to zrobił, sądzę, że uczyniłoby to pana bardzo popularnym“.

„Bardzo dobrze“ odrzekł szanowny Samuel Slumkey z rezygnacją, „i to przebedziemy, jeżeli potrzeba“...

... tłum wydał okrzyk.

„Wsiadł!“ zawołał mały Perker...

Inny okrzyk, jeszcze głośniejszy.

„Podaje rękę wyborcom“ rzekł mały agent.

Znowu okrzyk nierównie głośniejszy.

„Pogłaskał dzieci po głowach“ mówił dalej pan Perker, drżąc ze wzruszenia.

Grzmot oklasków rozdarł powietrze.

„Pocałował jedno!“ zawołał zachwycony mały człowieczek.

Drugi grzmot.

„Pocałował drugie!“.

Trzeci grzmot ogłuszający.

„Wszystkie całuje!“ wrzasnął roznamiętniony mały gentelman i w tej chwili pochód ruszył, witalny okrzykami tłumy“.

Widzicie państwo, jak się dawniej robiło wybory. Czy u nas można pomyśleć o tem, aby prezydent Maleszewski całował w główki wynajęte dzieci w drugim okręgu? Czy do pomyślenia jest, aby Nagurski, chcąc podać rękę dwudziestu wyborcom, zmusił tych wyborców do umycia się?

Cytujemy dalej zebranie wyborcze:

„Po kilku okresach figurycznej wymowy, choleryczny gentleman począł piorunować na przerywających mu, a potem rozpoczął kłótnię z gentlemanami, znajdującymi się w hustings. Natenczas ze wszech stron powstał hałas, co zniewoliło go do wyrażenia swych uczuć za pomocą pantominy; wreszcie ustąpił miejsca innemu mówcy, który miał polecone popieranie wniosku przedmówcy. Ten w ciągu pół godziny wygłaszał mowę pisaną, której żadna już wrzawa nie zdołała zaszkodzić, bo zawczasu przesłał ją w odpisie do „Gazety Etanswillskiej“, gdzie przedrukowano ją co do słowa“.

To już bardziej podobne do naszej rzeczywistości. Nastąpiły potem przemówienia obu kandydatów, „choć różniące się co do wszystkich innych punktów, zgadzały się w tem, że oddawały należny i rozrzewniający hołd zasługom i szlachetności wyborców eatanswillskich“. I wreszcie „Fizkin objawił gotowość spełnienia wszystkiego, co mu zostanie zaproponowane; Slumkey oświadczył, iż nie uczyni nic z tego, co będzie że daną“.

Jeden i drugi podnieśli to, że rolnictwo, przemysł, handel i pomyślność Eatanswillu zawsze droższe będą ich sercu nadewszystko w świecie. Każdy nakoniec był szczęśliwy, iż mógł oświadczyć, że dzięki zaufaniu, jakie pokłada w rozsądku wyborców, pewny jest swego wyboru“.

Jakoż zaufanie nie zawiodło, gdyż jeden z kandydatów został wybrany. W tym wypadku widzimy zdumiewającą zbieżność okoliczności dawnych z dzisiejszemi. Widzimy, że, jak to już ujął przedemną nieśmiertelny Vico, historia się powtarza. Prostu następuje się pytanie, czy w taki sposób potrafimy dojść do jakiegoś ideału? To samo, co było przed stu laty, powtórzyło się przed pięćdziesięciu, dzie-

się lat temu napisał o tem Mackiewicz, a dziś to się znowu powtarza. Gdzież postęp? Gdzie kierunek dziejów? Czy dojdziemy do jakiegoś ideału? Czy wogóle jest jakiś rzeczywisty ideał?

Bo chyba rzeczywiście:

Ideał—komunał

idealista—komunista

idealizacja—komunikacja.

Jak więc widzimy, istota zagadnień gospodarki komunalnej sprowadza się do kwestji komunikacji. Panowie Radni! Głosujcie tak, aby Arboni lepiej chodzili.

C. J. F.

Jako dodatek bezpłatny dla prenumeratorów „Włóczęgi“ ukaże się w postaci zeszytu 3 Biblioteczki Włóczęgi

17 ohydnych paszkwilów na Wilno i wilnian

pióra anonima. W sprzedaży we wszystkich księgarniach. Cena 50 groszy.

WŁÓCZĘGA U SIEBIE

151 zbranie z dnia 13.IV.34 r.

Ks. Władysław Bukowiński: Uchodźstwo kresowe w Polsce.

Wskutek przewrotu bolszewickiego w państwie rosyjskim, zjawiają się w Polsce liczne rzesze uchodźców. Dwie były główne fale tego uchodźstwa: pierwsza przypląwa do Polski w 1918 r., w związku z okupacją niemiecko-austriacką całej zachodniej połaci Rosji Europejskiej. Druga, główna, przybywa do Polski w 1920 r., w związku z polsko-ukraińską wyprawą na Kijów i z odwołaniem wojsk polskich. Masowe uchodźstwo z państwa Sowieców do Polski trwa w pierwszych latach po zawarciu traktatu ryskiego. O masowości tego uchodźstwa świadczy sam fakt istnienia wielkich obozów dla repartantów w Baranowiczach i w Równem na Wołyniu. Dopiero w ostatnich latach ustaje legalne uchodźstwo, zjawia się natomiast nielegalne uciekinierstwo z państwa Sowieców. Granica polsko-sowiecka niedarmo „czerwoną“ się nazywa, bo usiana jest setkami trupów nieszczęśliwych zbiegów z bolszewickiego raju, zastrzelonych przy przekraczaniu granicy przez sowiecką straż graniczną.

Pod względem narodowościowym, wśród uchodźców przeważają oczywiście Polacy, choć niebrak również przedstawicieli innych narodowości: Rosjan, Ukraińców, a zwłaszcza Żydów. Wśród uchodźców Polaków osobną grupę — najliczniejszą i najważniejszą — tworzą kresowcy, t.j. polacy pochodzący z Ziemi dawnej Litwy i Rusi historycznej, pozostali na wschód od linii granicznej traktatu ryskiego. W przeciwieństwie do licznych rzesz uchodźców Polaków pochodzących z Królestwa Kongresowego, uchodźcy kresowcy nie mieli żadnych osobistych ani rodzinnych związków z nowym swoim otoczeniem w Polsce środkowej lub zachodniej, gdzie na stałe się osiedlali.

Pod względem społecznym, uchodźcy kresowcy byli zróżniczkowani na dawnych ziemian i na pracowników umysłowych i fizycznych. Dopiero w ostatnich latach, w związku z kolektywizacją gruntów za naszą wschodnią granicą, poczynają uciekać do Polski także i włościanie wraz z drobną szlachtą zaściankową. Pod względem materialnym, położenie uchodźców kresowców było za małymi wyjątkami prosto oplakane: byli to ludzie, którzy stracili dosłownie wszystko co posiadali. Ale zato pod względem moralnym, uchodźcy kresowcy podtrzymywali się silną zrazu wśród nich nadzieją na rychły przewrót polityczny w państwie Sowieców i — co za tem idzie — możliwość powrotu do swoich stron rodzinnych.

Poczynając od 1918-go roku, uchodźcy kresowcy podejmują próby zorganizowania się. Pierwsze organizuje się środowisko warszawskie już w 1918 r. Nieco później, w 1921 i 1922 r., organizują się środowiska poznańskie, krakowskie i lwowskie. Organizacje uchodźców kresowców stawiają swojej działalności dwa cele: 1) reprezentację całokształtu sprawy kresowej, a wszczególnie uchodźstwa Kresowego,

2) samopomoc materialną. W pierwszym okresie swojej działalności, mniej więcej do 1923 r., wszystkie te organizacje wykazują dużą żywotność i wszechstronność. Odbywają liczne zjazdy i narady działacze kresowych ze sobą, a także z przedstawicielami emigracji ukraińskiej. Toczą się prace przygotowawcze do utworzenia ogólnopolskiego związku uchodźców kresowców. Środowisko krakowskie opracowuje projekt statutu związku. Jednakże do utworzenia związku nie dochodzi. Bo począwszy od 1923 r. działalność wszystkich organizacji uchodźstwa kresowego coraz bardziej ogranicza się do dziedziny tylko samopomocowo dobroczynnej. Przyczyną tego częściowego załamania się działalności organizacji uchodźczych stał się, przedewszystkiem kryzys moralny rzesz uchodźczych, zatracających z biegiem czasu pierwotną wiarę w rychły powrót do swoich stron rodzinnych.

Rzecz charakterystyczna, na okres od 1923 do 1927 r., w którym organizacje starszego pokolenia uchodźców kresowców zaczynają już z wolna załamywać się w pierwotnej wyteżonej i wszechstronnej działalności swojej, przypada najświetniejszy rozkwit organizacji akademików kresowców, studujących na wyższych uczelniach w Polsce środkowej i zachodniej. Te organizacje, ściśle biorąc, nie były nigdy organizacjami uchodźczymi, bo ich członkami, obok uchodźców kresowców stale zamieszkałych w rdzennej Polsce, są akademicy kresowcy pochodzący z województw wschodnich byłego zaboru rosyjskiego i w nich stale zamieszkali.

Powstanie organizacji akademików kresowców przypada na czas od 1913 do 1923 r. W 1918 r. organizuje się Warszawa, w 1921 r. Poznań, w 1922 r. Kraków, (gdzie już przed wojną istniało Akademickie Koło Litwy i Rusi, do którego należeli: p. Dyr. Wielhorski, J. M. Rektor Staniewicz i P. Ludwik Chomiński), w końcu w 1923 r. organizuje się Lwów. W latach 1923—1927 odbywają się 4 ogólnopolskie zjazdy akademickiej młodzieży z Kresów Wschodnich. Środowisko wileńskie było reprezentowane tylko na pierwszym z tych zjazdów przez kolegów: Leczyckiego i Swianiewicza. Pierwszy Zjazd (Warszawa, maj 1923) realizuje na terenie akademickim to, czego się nie udało dokonać starszemu pokoleniu uchodźstwa Kresowego: zjazd powołał do życia Akademicki Wschodni Kresowy Komitet Wykonawczy z siedzibą w Warszawie, w celu reprezentacji ogółu polskiej młodzieży akademickiej z Kresów Wschodnich, oraz w celu koordynacji pracy oświatowej, ideowej i społecznej poszczególnych organizacji młodzieży kresowej. Znamienne są uchwały wszystkich czterech zjazdów, które zazwyczaj przechodziły jednogłośnie, pomimo silnych niejednokrotnie tarć o posmak politycznym; obracają się one dookoła dwóch punktów zasadniczych, stanowiących swoiste „credo“ ideowe ogółu polskiej młodzieży akademickiej z Kresów Wschodnich. Po pierwsze, podkreślają konieczność połączenia się organizacyjnego całej polskiej młodzieży akademickiej z Kresów Wschodnich bez

względu na dzielące ją różnice, ostro przeciwstawiają się ówczesnemu rozbiciu partyjnemu społeczeństwa polskiego na Ziemiach Wschodnich, głoszą hasło jednolitego frontu polskiego na Kresach. Powtórnie, wysuwają ideał zespolenia Kresów z Polską przez podniesienie żywiołu polskiego na Kresach i przez zjednanie niepolskiej ludności Kresów dla idei wskrzeszonej Rzeczypospolitej Polskiej. Na te same lata 1923—1927, przypadają również usiłowania nawiązania ściślejszego kontaktu z organizacjami akademickiej młodzieży ukraińskiej, i to nie tylko na polu towarzyskim, lecz przede wszystkim na polu ideowym.

Od 1927 r., w którym odbył się ostatni ogólnopolski zjazd akademickiej młodzieży kresowej (Poznań), jej organizacje poczynają coraz bardziej ograniczać swoją działalność do samopomocy materialnej i do współzycia towarzyskiego swoich członków. Przynajmniej tego ograniczenia stało się ukończenie studjów wyższych i opuszczenie szeregów organizacyjnych przez pierwszą powojenną generację akademickiej młodzieży kresowej. Była to generacja „par excellence“ kresowa, ze względu na bezpośrednio przyżyty i tragicznie odczuty przewrót dziejowy na Kresach rodzinnych. Następnie, młodsze generacje akademików kresowców, nie miały już za sobą tak silnych i głębokich przeżyć. Ich związek z Kresami i ze sprawą kresową jest już o wiele słabszy. Musiało to także osłabić zakres i tempo pracy organizacyjnej.

Od 1932 r. środowisko krakowskie podejmuje próbę utworzenia Związku byłych członków Akademickiego Koła Kresowego w Krakowie. Może to mieć doniosłe następstwa w praktyce.

*

Po omówieniu dziejów uchodźstwa kresowego w Polsce i jego wysiłków organizacyjnych, należy postawić pytanie, jak ustosunkowało się do uchodźstwa społeczeństwo rdzennie polskie, wśród którego uchodźcy kresowcy na stałe zamieszkali. Jest ono niejednolite.

Ustosunkowanie się sfer inteligentnych społeczeństwa rdzennie polskiego do uchodźstwa kresowego i do całej wogóle sprawy kresowej można określić jako romantyczne. Inteligencja rdzennie polska patrzy na kresowców i na Kresy przez pryzmat historii, literatury i poezji. Kresowcy oglądani przez ten pryzmat to „Mohorty“, w męstwie niezłomni, z podziwu godną stałością znoszący utratę niezmiernych latyfundiów kresowych. Takie ustosunkowanie się jest wprawdzie bardzo sympatyczne, ale za mało realne i dlatego narażające na rozczarowania w szarżynie życia. W każdym razie, takim np. kulturalnym sferom Krakowa uchodźstwo kresowe winno szczerą wdzięczność za czynne zajęcie się sprawą kresową i położeniem uchodźców kresowych.

Ustosunkowanie się innych sfer społeczeństwa rdzennie polskiego do uchodźstwa kresowego i do sprawy kresowej, jest o wiele mniej sympatyczne. Cechuje je gruba ignorancja zagadnień kresowych wraz z niechęcią na tle konkurencyjnym. Ignorancja i niechęć znamionuje również stosunek tych sfer do Ukraińców i do Białorusinów. Co gorsza, takim samym z małemi tylko zmianami in plus, pozostaje nastawienie tej części inteligencji, która z tych sfer wychodzi.

Analogicznie się układa ustosunkowanie się uchodźctwa kresowego do społeczeństwa rdzennie polskiego. Inteligentniejsze sfery uchodźstwa kresowego o wiele bardziej pozytywnie ustosunkowują się do swego rdzennie polskiego otoczenia, niż inne sfery uchodźcze. W każdym razie, wśród wszystkich sfer uchodźstwa kresowego silnym jest po dziś dzień poczucie odrębności, występujące nawet w najmłodszym pokoleniu, częstokroć wcale Kresów nie pamiętającym.

To poczucie odrębności należałoby wykorzystać dla dobra sprawy kresowej. Uchodźstwo kresowe podejmuje „pracę dla Kresów“ w dwójakiej formie: po pierwsze, informuje społeczeństwo rdzennie polskie o Kresach drogą rozmów prywatnych i drogą pracy organizacyjnej. Wzorem takiej pracy są zebrania informacyjne o sytuacji na Kresach, urządzane w latach 1924—1927 przez Akademickie Koło Kresowe w Krakowie, które zdołało zainteresować profesurę wszystkich wyższych uczelni krakowskich. Powtórnie, uchodźstwo kresowe podejmuje pracę bezpośrednią dla dobra naszych województw wschodnich. Bodaj najczęściej działał na tem polu Akademicki Wschodnio Kresowy Komitet Wykonawczy przez organizowanie zbiorów książek i wysyłkę kompletów bibliotecyjnych na Kresy. Minusem pracy jest słabnący coraz bardziej kontakt z Kresami. Plussem powszechny wśród uchodźstwa i sentyment dla Kresów, przechodzący częstokroć w poczucie obowiązku pracy dla Kresów.

Praktycznie, możnaby uaktywnić uchodźstwo kresowe dla dobra sprawy kresowej nietylko przez trudne na większą skalę do zrealizowania osiedlenie się uchodźców na terenach naszych województw wschodnich, ile raczej przez ściślejszy niż dotąd kontakt uchodźstwa ze społeczeństwem polskiem naszych Ziemi Wschodnich. Tak jak ongi wielka emigracja polska na Zachodzie Enropy dała Polsce mesjanizm, podczas gdy społeczeństwo polskie pozostałe w kraju po powstaniach przyniosło pracę organiczną, — tak dziś niemałe dać mogłoby korzyści sprawie kresowej połączenie gorącego umiłowania Kresów rodzinnych, znamionującego uchodźstwo kresowe w Polsce, z codzienną realną pracą wykonywaną przez społeczeństwo polskie na naszych Ziemiach Wschodnich. Inicjatywę w tym kierunku podjąć powinno przede wszystkim Wilno, które wszyscy kresowcy uważają za swoją duchową stolicę. Z Wilna wyjść musi próba uaktywnienia uchodźstwa kresowego w Polsce dla rozwoju potęgi mocarstwowej Rzeczypospolitej Polkiej.

152 zebranie z dnia 20. IV. 1934.

Red. W. Bączkowski: „Zagadnienie ukraińskie“ (streszczenia nie nadesłano).

154 zebranie z dn. 11. V. 1934 r.

Dr. Ludwik Kohutek: „Problem polsko-czeski na Śląsku Cieszyńskim“.

W ostatnich latach zajęła Polska należne jej stanowisko mocarstwowe państwa na arenie międzynarodowej. Uznały to wszystkie państwa Europy, za wyjątkiem państw drugorzędnych, jak Litwa i Czechosłowacja. Z mocnymi sąsiadami zdołała Polska uzgodnić swe interesy, natomiast, jeżeli chodzi o Litwę i Czechosłowację, uzgodnienie ich interesów nie nastąpiło, jakkolwiek między Polską i temi państwami istnieją interesy wspólne, bardzo żywotne zwłaszcza na polu gospodarczym i militarnym.

Jeśli uznamy, że litewska sprawa Wilna jest fikcją, możemy powiedzieć, iż najważniejszą przyczyną dysharmonji między Litwą i Czechosłowacją z jedną, a Polską z drugiej strony, jest sprawa mniejszości polskich po tamtej stronie litewskiej, względnie czechosłowackiej granicy.

W ostatnich czasach stosunki z Czechosłowacją znacznie się pogorszyły, a to dzięki nieodpowiedniemu ustosunkowaniu się władzy republiki czechosłowackiej do jej mniejszości polskiej. Państwo to ma około 14 milionów mieszkańców, w tem sami Czesi, jako czynnik rządzący państwem, nie stanowią nawet 50 proc. ogólnej liczby zaludnienia. Tu też tkwi przyczyna ekspansji nacjonalistycznej elementu czeskiego w republice czecho-słowackiej, która się rzuca w oczy w każdym zakątku kraju sudeckiego, jak Rusi Podkarpackiej, Słowaczyny czy zachodniej części Śląska Cieszyńskiego.

Ta ekspansja czeska najbardziej daje się odczuć Polakom w Czechosłowacji, a to z dwóch przyczyn: 1) ponieważ Polacy stanowią najstarszą liczebnie mniejszość w Czechosłowacji i 2) ponieważ lud polski w 1929 roku w czasie najazdu Czechów na Śląsk z bronią w ręku walczył o swą wolność i przynależność do Polski.

Czesi wykorzystali moment opresji, w jakiej się Polska znalazła w 1920 roku, w czasie najazdu bolszewickiego, i położyli swą rękę na części Śląska Cieszyńskiego. Nęcił ich rozwinęty przemysł i linja kolejowa Bogumin-Koszyce, ale zapomnieli o jednym, mianowicie o tem, że właśnie zachodnia część Śląska Cieszyńskiego jest jedną z najbardziej uświadomionych narodowo ziem polskich i że siew Stalmachów, Michejdów i Londzinów już zaczął wydawać obfito plony.

Jeszcze w czasie wojny na obszarze Śląska Cieszyńskiego, który później znalazł się w granicach republiki czechosłowackiej, było 98 szkół ludowych i wydziałowych polskich z 339 klasami i 21.995 dziećmi. Taki stan posiadania potrafiła ludność polska tej części Śląska utrzymać mimo zaciętej walki z niemczyzną. Natomiast Czesi mieli na tym samym obszarze wówczas zaledwie 25 szkół z 113 klasami i 6.664 dziećmi.

Wynika z tego jasno, że Czesi wykorzystali chwilowe kłopoty nowo organizującego się państwa polskiego i zagarnęli prawie czysto polski obszar ziemi śląskiej.

Aby swój czyn usprawiedliwić wobec świata, wymyślono po 1920 roku tezę, że na Śląsku Cieszyńskim wogóle nigdy nie było Polaków, a ci którzy zamieszkują Śląsk są popolszczonymi Morawcami. Genjalnym twórcą tej historycznej tezy jest poeta czeski Piotr Bezrucz, który w swym zbiorze poezyj p.t. „Śląskie Pieśni“ wydanym w Bernie w 1930 r.

pisze w wierszu „70.000“ — opisując stosunki narodowościowe na Śląsku: „sto tise nas ponemčili — sto tise nas polstili“.

Za Bezruczem w lot podchwycili tę tezę szowiniści czescy, używając jej jako tarczy w wynaradawianiu ludności polskiej na Śląsku.

Wprawdzie lud śląski był doskonale zahartowany w dawniejszych walkach narodowych z Niemcami, po 1920 roku znalazł się jednak w ciężkiej depresji duchowej z trzech przyczyn: 1) z powodu niespodziewanie nieprzychylnego obrotu sprawy przyłączenia Śląska (reszty) do Czechosłowacji, 2) ze względu na szykany i terror, jaki po rozgraniczeniu Śląska zaczęli Czesi stosować względem Polaków, oraz 3) ponieważ Polacy w Czechosłowacji po 1920 r. zostali pozbawieni najruchliwszego elementu narodowego, który ze względu na udział w akcji antyczeskiej w czasie plebiscytu, musiał uchodzić do Polski.

To też Czesi z bezprzykładną energią zabrali się do niszczenia na Śląsku wszystkiego co polskie na każdym polu.

Prym w tej walce wiedzie „Maticе osvety Lidové“ (czeska macierz szkolna). W oficjalnym sprawozdaniu żupy cieszyńskiej tej organizacji za 1928 rok czytamy: „Maticе nie zazna tak długo spokoju, dopóki nie zasypie ostatniego polskiego grobu!“

Niesłuchanie ciężkie boje o polskość Śląska Cieszyńskiego toczą się za Olzą na polu szkolnictwa. Czesi pobudowali we wszystkich polskich wsiach i miastach duże, nowoczesne budynki dla szkół czeskich. W każdej takiej szkole siedzi kierownik czeski, którego zadaniem jest przedewszystkim agitować przeciw polskości i zapełnić szkołę polskimi dziećmi.

To też po tamtej stronie Olzy już w 1924 roku było tylko 87 szkół polskich z 304 klasami i 12,391 dziećmi, podczas, gdy czeskich szkół już 128, z 444 klasami i 16,762 dziećmi.

Rzecz jasna, że w agitacji za posyłaniem dzieci polskich do czeskich szkół nie przebiegają Czesi w środkach. Są to poprostu targo i dusze polskie.

Agitacja idzie również w kościoły. 5 kościołów rzymsko-katolickich na terenie Cieszyńskiego zamieniono na cerkwie czesko-braterskie. 8 polskich parafii katolickich obsadzono księżmi-Czechami.

Polska ludność ewangelicka broni się przed wynarodowieniem skuteczniej, ze względu na swą autonomję wyznaniową. Wszystkie 7 polsko-ewangelickie parafie są obsadzone pastorami-Polakami.

W beznadziejnym położeniu znajduje się ludność polska w Czechosłowacji, jeżeli chodzi o życie gospodarcze. Czesi wykorzystują tu skrzętnie każdy moment, aby Polaków upośledzić. Przy parcelacji dóbr byłego arcyksięcia Fryderyka Habsburga, wszystkie ośrodki przydzielono osadnikom z Czech. Inżynierów i robotników narodowości polskiej zwalnia się przy każdej redukcji, ze specjalnym uwzględnieniem. Polak-urzędnik w administracji państwowej republiki czechosłowackiej jest typem niespotykanym.

Pozatem ludność polska na Śląsku jest ustawicznie szykanowana przez administrację czeską. Szykany te polegają głównie na rozwiązywaniu polskich rad gminnych lub niezatwierdzaniu polskich burmistrzów i wójtów.

Na 84 gmin zamieszkałych przez ludność polską niema w Czechosłowacji ani jednego notariusza Polaka.

Ludność polska w Czechosłowacji składa się prawie wyłącznie z elementu robotniczego, względnie matorolnego. Ciężki kryzys, jaki przeżywa Czechosłowacja, daje się przede wszystkim we znaki tym sferom ludności. Polacy tem więcej odczuwają swą ciężką niedolę w Czechosłowacji, że polityka na rynku pracy jest środkiem walki antypolskiej w rękach organów rządzących.

Pomimo wszystko Polacy za Olzą nie tracą nadziei i rąk nie opuszczają. Na duchu podtrzymuje ich praca organizacyjna. Organizacją reprezentującą wspólne dążenia wszystkich Polaków w Czechosłowacji jest tamtejsza Polska Macierz Szkolna. Skupia ona do 10.000 członków. O ofiarności i wyrobieniu organizacyjnym ludu polskiego w Czechosłowacji świadczy fakt, że w 1931 roku zebrano na Polską Macierz 800.000 kc. składek, zaś na inne polskie organizacje 700.000 kc. Sumy te zebrał na swe potrzeby kulturalne bezrobotny, robotnik i chłop, odejmując sobie ostatni kęs chleba od ust.

Nic też dziwnego, że mimo kryzysu i niesłuchanych represyj ze strony czynników czeskich, Polska Macierz Szkolna w Czechosłowacji w ciągu 15 lat ostatnich wykazała stały rozwój. Pobudowała 7 szkół wydziałowych na Śląsku. Oprócz nich utrzymuje jeszcze 11 szkół powszechnych, 51 przedszkoli, 5 burs, 1 gimnazjum, 1 paralelkę seminarjum

nauczycielskiego, 2 szkoły gospodyń wiejskich, i 13 szkół uzupełniających.

Rzecz jasna, że tak wielkiego wysiłku nie mogłaby ponieść Macierz Szkolna w Czechosłowacji bez pomocy ze strony całego narodu polskiego. O tem należy zawsze i wszędzie u nas w Polsce pamiętać! Obecnie instytucja ta znajduje się w niesłuchanie ciężkim położeniu finansowem!

Polacy w Czechosłowacji przekonali się dostatecznie, że wszelkie nadzieje na równouprawnienie — są złudzeniem.

Ponieważ zaś czechizacja Śląska idzie naprzód, pozostaje im jeszcze jedna droga ratunku: powrót na łono Macierzy, wcielenie całego Śląska Cieszyńskiego do Polski. Im Polska staje się państwem silniejszym, tem więcej nasi bracia z za Olzy wzdychają za tem jedynym lepszym jutrem!

A Czechosłowacja? Pan Benes chętnie widziałby się z Polską za pan brat, ale pod warunkiem wykluczenia z porządku dziennego kwestji mniejszości polskiej w Czechosłowacji, „tam przecież Polaków niema, a są tylko popolszczeni Morawcy“.

155 zebranie z dn. 18. V. 1934: Doc. Wiktor Sukiennicki „Wrażenia z Rosji Sowieckiej“ (streszczenia nie nadesłano).

156 zebranie z dn. 25. V. 1934: Doc. Żmigryder-Konopka „Władza i autorytet“ (streszczenia nie nadesłano).

157 zebranie z dn. 1. VI. 34: Zacharjasz Mężyński „Straż Przednia na tle ruchów młodzieżowych w Polsce“.

160 zebranie z dn. 28. VI. 34: Bohdan Wierzbicki „Robotnicze związki zawodowe w Wilnie“ (streszczenia nie nadesłano).

161 zebranie z dn. 18. VII. 34: Doc. Michał Król „Projekt rozstrzygnięcia sprawy litewskiej w/g zasad prawa międzynarodowego“ (streszczenia nie nadesłano).

162-gie zebranie Klubu Włóczągów z dn. 30 lipca 1934 r. Referat Teodora Nagurskiego p. t. „Union des Etats Scandinaves, des Republiques Baltiques et de la Pologne“.

Referat in extenso umieszczony jest w innym miejscu niniejszego numeru. Należy zaznaczyć, że zebranie zaszczylił swą obecnością przybyły na zaproszenie Klubu Włóczągów do Wilna p. Carl Lindhagen — były burmistrz Sztokholmu i deputowany do parlamentu szwedzkiego. W dyskusji, która wywiązała się po referacie, wziął udział p. Lindhagen, wygłaszając dłuższe przemówienie na temat swych wrażeń z podróży po Nadbałtyce. Scharakteryzował falę nacjonalizmu przepływającego przez Finlandję, Estonję, Łotwę i Litwę. Podkreślił swe negatywne stanowisko do projektów Locarna Wschodniego. Rozwinął swój projekt entente'y Skandynawsko-Bałtycko-Polskiej, wyjaśniając, dlaczego uważa za niezbędny udział w niej Polski. Określił trudności, jakie napotyka ta idea nawet wewnątrz szwedzkiego społeczeństwa, nieprzygotowanego do konieczności tworzenia grup państw. Jako jedną z poważniejszych przeszkód uważa spór litewsko-polski. Stał na stanowisku, że w sprawie Wilna strona jurydyczna zagadnienia przemawia na korzyść Litwy, zaś strona demograficzna na korzyść Polski. Obserwuje wzrost nacjonalizmu nie tylko po stronie litewskiej, lecz również po stronie polskiej. To właśnie szczególnie utrudnia porozumienie się 2 stron. I z tego względu szczególnie cennym jest dla p. Lindhagena, że w Wilnie zetknął się z środowiskiem Klubu Włóczągów, stojącym na punkcie zwalczania szowinizmów obustronnych.

Prócz p. Lindhagen zabierali głos p. p. d-r Henryk Niedwieżański, d-r Świaniewicz, d-r Wirszubski, inżynier A. Kawenoki, p. Wacław Studnicki, — wreszcie na zakończenie — prelegent p. T. Nagurski*). Zebranie przebiegające w bardzo miłej atmosferze, zakończyło się już po północy.

*) „Vilniaus Rytėjus“ umieściło w związku z zebraniem w Klubie Włóczągów równie złośliwą, jak i nieprawdziwą notatkę, że „Kurjer Wileński“, który wydrukował wywiad z p. Lindhagenem, nie umieścił, wbrew zapowiedzi, jego referatu, spowodu jakoby wyrażania w referacie sympatyj prolitewskich. Otóż stwierdzamy, że p. Lindhagen re-

WŁÓCZĘGA PO MIEŚCIE I WSI

PURYŚCI.

Grzechy przeciw czystości polszczyzny coraz częściej zajmują uwagę naszych pisarzy. Niedawno Boy wystąpił przeciwko zachwaszczeniu języka sztucznymi stylami. Sprawa zaczyna być zabawną, skoro w szranki obrońców polszczyzny wstępują ludzie, piszący sami językiem skoszlawionym.

Pozę obrońcy polszczyzny coraz częściej zaczyna przybierać wileńskie „Słowo”, organ znany z plugawienia rodzimego języka rusycyzmami. Wszystkie czołowe pióra tego organu piszą stylem albo niezdarne płaskim, albo rosyjsko-polskim. Wyszomirski nie potrafi napisać feljetonu bez rusycyzmów i bez gęstego zakropienia przysłowiami istinno uszkami. Charkiewicz drewnianą swoją polszczyzną woła o czyszczenie języka. Ten publicysta pisze w numerze z 1 września:

„Tak, trzeba wreszcie rozpocząć systematyczną walkę o nieskazytelną polszczyznę... I cytując „Gazetę Warszawską”, radzi w każdej redakcji sporządzać wykazy błędów i tablice takie wywieszać w lokalu redakcyjnym „z rozporządzenia naczelnego redaktora”.

Naczelnny redaktor „Słowa” sam wielokrotnie występował w obronie języka: „Konstytucja powiada swoja s z k a r a d n ą a polszczyznę... („Kropki nad i”, str. 113). W artykule wstępnym z 5 września r. b. wytyka sądowi marszałkowskiemu, który rozpatrywał sprawę sen. Dobieckiego: „Szkoda tylko... że redaktorzy wyroku nie postarali się uzgodnić go także z gramatyką. Ten tekst... nie jest napisany po polsku”. A zaraz potem stwierdza: „Dumni jesteśmy, że na dwóch biegunach przykładów stoja—na jednym praktyka francuskich łóż masonskich, na drugim język, którym w swoich okólnikach i zaleceniach przemawia płk. Sławek.” To zestawienie stwarza pozór, że p. Cat rozszerza swój przytyk językoznawczy również i na płk. Sławka.

Któż to tak broni czystości języka? Laureat własnego plebiscytu, uznany w głosowaniu swoich czytelników za najwybitniejszego pisarza Wilna! Pan Stanisław Mackiewicz. Autor dwóch książek, w których przedrukował swoje artykuły wstępne. Wybierzemy z tych książek, wcale nie szukając drobniogowo, ale na chybił trafił, szereg kwiatków.

Oto mała wiązanka wyrażen naszego regionalnego purysty językowego, wyjęta z jego książki „Kropki nad i”.

- „Te muzeum polskie” (str. 18).
- „Pierwiej” (str. 36).
- „Używa się on (ten wyraz) zwykle...” (str. 66).
- „Zabezpieczenie Polsce flanków” (str. 85 i 86).
- „Potrzeba szczyptę mydła” (str. 85).
- „Min. Zaleski dmuchał na tę bańkę — jednakże się ona utrzymuje” (str. 85).
- „Bolszewja zapowiada wzniesienie pożar” (str. 86).
- „Szpjonaż” (str. 87).
- „Rywalizacja dominjonów angielskich” (str. 90).
- „Owe oblicze” (str. 90).
- „Oblicze jej polityki będzie nabierało na kolorach” (str. 90).
- „Polska występowała” (str. 95).
- „Nie więc odrzucam wyborów, przeciwnie...” (str. 101).
- „Te W. Ks. Litewskie” (sta. 127).
- „Ch. N. spotyka taki projekt z oburzeniem” (str. 129).
- „Zagrała tą fanfare” (str. 130).
- „Tak dalece w Wilnie, jak Poznaniu” (str. 131).

W drugiej książce St. Mackiewicza, „Myśl w obcęgach” (wyd. II), błędów jest nie mniej, lecz więcej. Oto niektóre, specjalnie rażące rusycyzmy, błędy gramatyczne, grzechy przeciw zasadom deklinacji i składni.

feratu nie wygłaszał i wziął jedynie udział w dyskusji nad referatem Prezesa Klubu p. T. Nagurskiego, który to referat podajemy wyżej. Również podajemy strzeszczenie przemówienia p. Lindhagena. Jeżeli chodzi o poglądy p. Lindhagena sformułowane bardziej szczegółowo to odsyłamy panów litwinów z „Vilniaus Rytujus” do Nr. 12 z r. 1933, „Włóczęgi”, gdzie wydrukowaliśmy artykuł p. Lindhagena, jak również odsyłamy do prasy szwedzkiej, gdzie nasz gość opublikował swe wrażenia z podróży po Litwie i Polsce. „Vilniaus Rytujus”, zamiast sięgnąć do źródeł właściwych i obiektywnych, puszcza się na śliską drogę kłamstw i insynuacji. Radzimy pamiętać, że kłamstwem można wprowadzić cały świat przejechać, ale wrócić tą samą drogą—nie można.

- „Pierwiej” (co znaczyć ma: „wprzód”, „pierwej” (str. 15, 87, 136).
- „Pojasniająca tablica” (zam. objaśniająca) (str. 16).
- „Czepianie się do różnych ustępów” (str. 21).
- „Religja się nie prześladowa” (str. 28).
- „Piją szampan” (str. 29).
- „Zaciska pięście” (str. 33).
- „Po przyglądnięciu się” (str. 35).
- „Drzewa, które zaczęły puszczać pęki” (str. 38).
- „Biednota azjatycka” (str. 45).
- „Zagłoba zabraty się uwędzić” (str. 47).
- „Można dostać wodę gorącą (sic!), resztle trzeba mieć swoje” (str. 53).
- „W poszukiwaniu kupna szklanki, zaprowadzono mnie do antykwariatu” (kto poszukiwał szklanki?) — (str. 54).
- „Nie może zatknąć uszy na politykę” (str. 57).
- „W Moskwie ktoś jeden sprzedaje kromkę chleba” (str. 59).
- „Żydzi wydali mi się być ubrani” (str. 61).
- „Miałem sposobność stwierdzenia jeszcze co innego” (str. 67).
- „Biura, gdzie liszeniec się zwraca” (str. 67).
- „Szyldy są po ukraińsku” (str. 75).
- „Kijów pachnął” (ma być „pachniał”) — (str. 75).
- „Wydają się być” (str. 81).
- „Na jego grobie widzi się on, jako stary pan” (str. 81).
- „Nie potrafił mi wskazać na winę” (str. 83).
- „Bolszewizm tą selekcję przeprowadza” (str. 93).
- „Przyglądnijmy się” (str. 94).
- „Narazie... przedtem, niż powie się” (ma być: zanim) — (str. 96).
- „Dialektykę, jaką uczono w szkołach” (str. 97).
- „Nie potrafią zrozumieć chrześcijaństwo” (str. 98).
- „Ciąganie worków” (str. 101).
- „Młodzieży się oddaje coraz liczniejsze posterunki” (szyk!) (str. 112).
- „Zapytałem się mego rozmówcę” (str. 121).
- „Nie przypisywałem znaczenia do tego, co on mówi” (str. 123).
- „Wożący Amerykan do lokali” (str. 135).

Pan Charkiewicz radzi czyścić język zapomocą wywieszania spisu błędów „z rozporządzenia naczelnego redaktora”. W danym wypadku będą dwie trudności: po pierwsze niewiadomo, czy w redakcji „Słowa” znajdzie się dość wielka ściana, by pomieścić spis błędów tego pisma; powtóre: pierwsza lista będzie musiała objąć kolosalny rejestr błędów językowych samego redaktora naczelnego, który jednak takiego „rozporządzenia” nie będzie mógł podpisać, bo, jak widzimy, nie odróżnia czystej polszczyzny od zachwaszczonego obcemi wpływami i prowincjonalizmami żargonu.

KRYTYCY OD WSZYSTKIEGO.

Omawiając w jednym z poprzednich numerów „Włóczęgi”, treść wychodzącego w Krakowie miesięcznika „Głos Plastyków”, wskazałem na ciekawą i aktualną dla artystów zagadnienie, poruszone w artykule p. Gotlieba, mianowicie, kto jest uprawniony do pisania krytyk o dziełach plastyków na wystawach sztuki.

Nie wdając się w dłuższe teoretyczne dociekania na ten temat, zaznaczę, że jeżeli zadaniem krytyka jest pouczenie publiczności i ułatwienie w orjentowaniu się co do wartości poszczególnych prac, to krytyk przedewszystkiem powinien być bezstronnym, posiadać głęboką kulturę artystyczną no i pewne po temu kwalifikacje. Te refleksje mimowoli nasuwają się po przeczytaniu artykułu p. Klaczyńskiego o wystawie „Niezależnych” pod tytułem „Wystawa i Panopticum”, umieszczonego w numerze 154 „Kurjera Wileńskiego” r. b. Już tytuł artykułu mówi sam za siebie i odrazu obniża poziom i powagę samej treści. Już pierwsze zdania świadczą wyraźnie o tendencji p. Klaczyńskiego — zdyskredytowania w oczach czytelnika wartości imprez artystycznych T-wa „Niezależnych”, organizowanych z dużym nakładem energii i dobrej woli Zarządu T-wa. Otóż przedewszystkiem na ten Zarząd miota gromy autor wspomnianego artykułu, zapominając o tem, że właśnie ten Zarząd od lat czterech organizuje wystawy w Wilnie i Warszawie bez żadnej pomocy finansowej. Łączenie nazwy T-wa z niezależnością od poziomu artystycznego nie jest właściwie „kaśliwym powiedzonkiem” lecz dowodem specjalnej sympatii, którą obdarowuje szanowny krytyk T-wo „Niezależnych”. Można by zapytać „cui bono” to się robi. A teraz parę słów o głębokiej kulturze artystycznej

i kwalifikacjach na krytyka, o których wspominałem na wstępie w odniesieniu do autora artykułu. Przed kilku laty p. Klaczyński pisał barwne feljetyony o wrażeniach z podróży, następnie omawiał prace graficzne na wystawach wileńskich, obecnie jest autorem sprawozdań z kin i cyrku, a nawet wystaw artystycznych. Pisząc o obrazach olejnych i kredkowych, dziwi się, że większe prace można wykonać kredką: „portret Marszałka wielki ale kredkowy grzeszy brakiem wyrazu”. Widocznie p. Kl. nie słyszał o tem, że wielki artysta o sławie europejskiej Sascha Szneider wykonał cały cykl olbrzymich kartonów kredką. Wreszcie Szanowny Krytyk wskazuje na artystów „bardziej szanujących się i mniej szanujących się.” Wobec tego zadam niedyskretne pytanie, czy autor artykułu stosuje ten sam podział do krytyków i do ja tej kategorii siebie zalicza. A czy „niski poziom kultury artystycznej publiczności wileńskiej”, na który narzeka Szanowny recenzent, podniesie się przy czytaniu tego rodzaju krytyk, w to bardzo wątpliwe. Jednocześnie dziwię się, że kierownik artystyczny „Kurjera Wileńskiego” p. prof. Morełowski nie zakwestjonował tego rodzaju krytyki artystycznej i jednocześnie nie doradził p. Kl.

pisania w dalszym ciągu sprawozdań tylko o obrazach kinowych.

Marjan Kulesza.
Dopisek autora: Artykuł niniejszy jest spóźniony, ale sprawa krytyków od wszystkiego jest zawsze aktualną.

JAK ZA MURAWJEWĄ . . .

Polska prasa kowieńska podaje następującą wiadomość.

Ukaranie redaktora „Chaty Rodzinnej”. Z rozporządzenia komendanta m. Kowna i powiatu płk. Fr. Saladziusa redaktor odpowiedzialny tygodnika „Chata Rodzinna” p. Czesław Galiński został ukarany grzywną w wys. 500 lt. z zamianą na jeden miesiąc więzienia za zamieszczenie w dodatku dla dzieci „Świątek Dziecinny” (Nr. 35 „Chaty Rodzinnej”) opowiadania p. t. „W szkole”, w którym komendant dopatrzył się szkody interesom Narodu i Państwa Litewskiego i poniżenia imienia Litwy.

Pozostawiamy ją bez komentarzy, które są zbyteczne. Szowinizm litewski przez fakty, podobne do zacytowanego wydaje wyrok sam na siebie.

WŁÓCZĘGA PO PISMACH I KSIĄŻKACH

OTTON HEDEMANN

Dzisna i Druja Magdeburgskie Miasta

Wilno — 1934.

Ukazała w druku kapitalna praca p. Ottona Hedemanna p. t. „Dzisna i Druja Magdeburgskie Miasta”. Jest to trzecia z rzędu książka autora znanego już dzisiaj nietylko w Wilnie, ale w całej Polsce. Jego pierwsza praca p. t. „Historja Powiatu Braślawskiego” (Wilno, 1930) posłużyła za wzór dla innych prac tego rodzaju (naprz. monografij powiatów śląskich). Drugą pracą p. Hedemanna była książka p. t. „Dawne Puszcze i Wody” (Wilno, 1934). Wszystkie trzy prace za teren badania mają północną Wileńszczyznę: powiaty braślawski i dziśnieński. Są to, jak wiadomo, najbardziej „zakazane” części województwa: powiaty, które najczęściej nekane są przez nieurodzaje, gdzie panuje zastój w dziedzinie rzemiosła i handlu, które są jednym słowem dnem owego worka, jak i geograficznie stanowi Wileńszczyzna. Pierwszą zasługą p. Hedemanna było zabranie się właśnie do tych ubogich dzisiaj terenów. Wychodzę z założenia, że stan gospodarczy w jakim dzisiaj znajduje się cała Wileńszczyzna wymaga szukanie nowych dróg dla jej odrodzenia. Skrupulatne badania historyczne dają niezastąpiony materiał dla szukania nowych dróg, w nawiązaniu o świetną przeszłość tych ziem. Ta myśl przewodnia nie była, jak widać obca p. Hedemannowi, skoro we wstępie do „Dzisny i Druji” podaje: . . . „cieszę się na „dzieja, iż przyczyni się ona (ta praca) do zadzierzgnięcia „mocniejszych więzów poznania i sympatji dla tej niedocennej, zaniedbanej, a tak egzotycznej placówki naddziwniskiej. Niegdyś Dźwina należała do nas od Rygi do Witebska, „dziś zaledwie od Druji do Dzisny. Może wszakże stać się ona „nowym terenem dla nowej handlowej i kulturalnej ekspansji „na Bałtyk”.

Obszerna, wyczerpująca praca o magdeburgskich miastach Dziśnie i Druji (przeszło 480 stron) jest w swej istocie pracą historyczną. Historykom też pozostawiam ocenę jej całokształtu. Sam pozwolę sobie natomiast sięgnąć do najbardziej interesujących mnie fragmentów *gospodarczej* przeszłości samej tylko *Druji*, jako obiektu najnowszych zainteresowań.

Na wstępie autor zaznacza, że materiały co do Druji dochowały się jedynie w stanie szczątkowym. Istnieją jedynie 2 księgi Magdeburgji drujskiej z pierwszej połowy XVIII wieku (1718 — 1723 oraz 1728 — 1733). Materiałów gospodarczych w tych księgach jest niewiele, — zresztą — jest to okres gospodarczego upadku Druji, datujący się od pokoju Nysztadzkiego (1721). Na podstawie tych skąpych danych — handel Druji przedstawiał się w sposób następujący. Druja

prowadziła handel pośredniczący na linii Królewiec—Tylża—Kiejdany — Onikszty — Druja — ku miastom wówczas moskiewskim: Psków, Toropiec, Wieliz, Smoleńsk, Witebsk. Przedmiotem handlu były głównie skóry (jucht) dalej szcecin, płótna farbowane (kraszanica), tytoń, len, miód. Odbываły się w Druji jarmarki, na które ściągali liczni kupcy nie tylko polscy, ale i moskiewscy. Jako ośrodek takiego handlu była Druja punktem ważnym i cenionym. Natomiast jest rzeczą ciekawą, że o transportach wodnych w Druji niema w materiałach, wykorzystanych przez p. Hedemanna — żadnych wiadomości. Być może dlatego, że wojny rosyjsko-szwedzkie uniemożliwiły handel z Rygą, być może z innych względów. Przecież o handlu takim dość dużo mamy materiałów w opisie Dzisny, które coprawda dotyczą całego XVIII wieku, a nie jego 10 lat.

Nie zmienia to postaci rzeczy, że jak mówi autor: „kompleks tych (terenowych) cech nadawał Druji, leżącej na „na samem pograniczu Inflant, wybitne wartości terenowe — „tak w sensie obronnym, jak szczególnie handlowym”.

Rzemiosła w Druji były rozwinięte. Stare księgi podają: garbarzy, kuśnierzy, czapników, snycerzy, tkaczy, kowali, cieślów, bednarzy, szewców, krawców, rybaków i t. d. Szczególnie ważne znaczenie posiadało rzemiosło garbarskie.

Tyle co do fragmentów gospodarczych pracy p. Hedemanna. Mimo szczupłości tych danych o Druji (o Dziśnie te dane są już znacznie bogatsze) dają ona ciekawą charakterystykę tego miasteczka, którego przyszłość rokuje wielkie, bo związane z portem rzeczonym całej Wileńszczyzny, nadzieje. Jasna karta historii zdaje się ponownie otwierać naddziwniskiemu osiedlu, zaś razem z nim — dla całej północnej Wileńszczyzny.

* * *

W pracach p. Ottona Hedemanna uderza mnie jedna okoliczność natury spofecznej. Oto skromny nauczyciel szkoły powszechnej w Opsie zdo bywa się, obok swej pracy zawodowej, na poważne badania naukowe terenu go otaczającego. Wyniki wstępnych prac p. Hedemanna powodują zainteresowanie się nim Kuratorjum i Ministerstwa, skutkiem czego otrzymuje kilkuletni urlop naukowy. W trakcie tych lat zdobywa się ów „powszechniak” na trzy poważne prace, rozsadzające poprostu zakresem i objętością formy pierwotnie nakreślone (prace p. Hedemanna miały służyć jako materiał podręczny dla nauczycieli szkół powszechnych). Mamy w p. Hedemannie przykład dość rzadkiego, niestety, entuzjasty, który z bagażem swego wyższego wykształcenia nie wahał się „zakopać się” jak to się mówi, w szkole powszechnej najbardziej zapadłego powiatu Rzeczypospolitej. Wyniki jego pracy same świadczą o nim.

I jeszcze jeden ciekawy szczegół biograficzny. Pan Hedemann jest synem polki i imigranta duńczyka, a więc potomkiem wikingów, pustoszących ongi wybrzeża Dźwiny, a czasami również organizujących zamieszkałe tu plemiona. Ów wiking zasłużył sobie dzisiaj na hołd i wdzięczność tego naddzwinią.

T. N.

„TURYSTA W POLSCE“

Wydział Turystyki Ministerstwa Komunikacji przystąpił do wydawania luksusowego kwartalnika p. t. „Turysta w Polsce“, w językach: polskim, francuskim, angielskim i niemieckim.

Numer pierwszy kwartalnika wyszedł już z druku i zawiera następujące artykuły: Fr. Galiński — Warszawa; J. Ginsbert — Nad Polskim Morzem; Walery Goetel — Zakopane, Tatry, Pieniny; Władysław Grzelak — Polska jako teren turystyki wodnej; prof. Wł. Szafer — Parki Narodowe w Polsce; St. Lenartowicz — Huculszczyzna; Józef Lasoń — Wilno i dr. M. Orłowicz — Kalendarz Turystyczny.

„Turysta w Polsce“ wychodzi pod redakcją B. T. Lepeckiego.

Wyjątkowo ozdobną stronę graficzną opracował T. Piotrowski.

Z TEATRÓW WILEŃSKICH

BOHDAN WIERZBICKI

Teatr miejski u progu nowego sezonu

Rok rocznie pewna, niestety znikomo mała, część społeczeństwa wileńskiego przeżywa na przełomie lata i jesieni długie chwile niepokoju: jaki będzie zespół i poziom teatru w zbliżającym się sezonie. W takich chwilach rozważa się skrupulatnie blaski i cienie sezonu kończącego się, oraz udziela się, w myśli, dyrekcji teatru i opiekuńczym władzom miasta tysiące zbawiennych rad. Na szczęście każdy z myślących myśli po swojemu, i na nieszczęście każdy sobie. Bo to jest naprawdę wielkie nieszczęście, że wielu miałoby coś do powiedzenia, a wszyscy milczą i nie pozwalają tem milczeniem poznać opinii publicznej, nad której zbadaniem i zadowoleniem będąc się, nieraz bezskutecznie, dyrektor i kierownik literacki teatru. Ludzie ci, kierując tak ważną dla życia publicznego placówką, skazani są na pracę poomacku, dlatego, że społeczeństwo pozwala sobie na luksus milczenia. Szukanie drogi do upodobań publiczności teatralnej poomacku, zabawa w zgadywanie, nie może dać rezultatów pomyślnych, chyba, że robi to genialny znawca psychiki ludzi, psychiki zbiorowej mas. Takich genjuszów historia zna niewiele; zwykłym śmiertelnikom pomagajmy, chociażby we własnym interesie.

Wracając do omawiania nowego sezonu teatru na Pohulance muszę przedewszystkiem zaznaczyć fakty dokonane: częściowe zmiany zespołu aktorского. Ubyło niewiele: Woskowski, Zielińska, Tatarkiewicz i kilku pomniejszych. Mojem zdaniem żałować trzeba tylko Zielińskiej, gdyż była ona obok Jasińskiej — Detkowskiej najlepszą, ze znanych w Wilnie, odtwórczynią ról charakterystycznych. Kto pamięta ją ze sztuk „Burza w szklance wody“ lub „Mam lat 26“ i całego szeregu innych, zgodzi się, że, choć nie była gwiazdą pierwszej jakości, była zato niezawodną wykonawczynią, starrannie przygotowującą swą rolę, umiejacą wyczuć i podkreślić w grze najsubtelniejsze wybryki cha-

rakterów. Mając w zespole więcej takich sił, można się obyć nawet bez gwiazd.

Z nowych sił zaangażowano: Bay-Rydzewskiego, Boneckiego — znanego już Wilnu z roli Azefa oraz wszechstronnego żołnierza z komedji Shaw'a „Zbyt prawdziwe, aby było dobre“; Zastrzeżyńskiego — również dobrego znajomego, wykonawcy roli genialnego aferzysty z „Banku Nemo“ oraz Tumrego z „Chaty za wsią“; Borowskiego, Śródkę, Ludwizankę, Bednarską, oraz początkujących: Andryczównę i Malatyńskiego. Ponadto angażowaną doraźnie jest Wilińska, utalentowana córka dyrygenta teatru muzycznego, która temperamentem przypomina dawną sympatję Wilna — Niwińską, pupilkę zespołu dyr. Zelwerowicza.

Jeśli chodzi o zamierzony repertuar, będzie to znów trafianie do upodobań publiczności Szekspirem, Fredrą, — utworami klasycznymi, komedjami współczesnymi, sensacją, bajkami. Może się wreszcie znaleźć sposób na kieszenie wilan, bo niestety, aby dawać rzeczy naprawdę wartościowe, trzeba dać przedtem kasowe. Na sztuki kasowe trzeba właśnie trafić, gdyż Wilno nie dało w ciągu wielu lat do zrozumienia co mu odpowiada, — takie są skutki na wstępie oplakiwanego przezemnie milczenia. A więc zobaczymy na scenie w najbliższej przyszłości: „Hamleta“, „Śluby Panienskie“, „Magję“, „Wicka i Wacka“, wznowienie „Moralności Pani Dulskiej“ i „M-me Sans-Gêne“, obecnie grane już są „Słowik“, „Zwyciężyłem kryzys“, a grano na otwarcie sezonu niefortunna „Sprawiedliwość“. Repertuar bogaty i urozmaicony; małą obawę budzą utwory klasyczne, czy aby zdobędą powodzenie, gdyż są przeważnie znane dobrze i zresztą — zmieniły się czasy, zmienili się ludzie i gusta. Bez względu liczyć można na szkoły, lecz czy same szkoły uratują od kłapy bardzo kosztowne, w inscenizacji, arcydzieła.

Na specjalne omówienie zasługuje teatr objazdowy, który w sezonie bieżącym będzie prowadzony w takich, jak w ubiegłym roku, rozmiarach. Jeśli wartość i poziom teatru miejskiego, zasługi dyrekcji jego, mogą być dyskutowane, ponad wszelką dyskusję jest znaczenie teatru objazdowego i zasługi jego inicjatorów, którzy mimo bardzo ciężkich warunków kontynuują swą pracę dla odległych, zapomnianych przez Macierz, zaniedbanych kresów. I tu drugorzędną już nawet rolę gra wartość sztuki, — najważniejsze, że choć kilka razy do roku teatr polski przyjeżdża.

Przed pięcioma laty dłuższy czas przebywałem w powiatach dziśnieńskim i postawskim, wtedy, gdy w Wilnie triumfy święciła „Reduta“; — przez dwuletni okres pobytu mego na prowincji raz tylko odwiedziła miasta większe „Reduta“ i raz zespół amatorski „Ogniska“ kolejowego, ale zato po kilka tygodni w każdym miasteczku grasował jakiś zespół ukraiński i kilka razy przyjeżdżał falsyfikat rosyjskiego teatru w Rydze. Dopiero na tem tle widać ogrom zasługi obecnego teatru objazdowego, który w ubiegłym sezonie dokonał siedem objazdów, odwiedził koło 30 mniejszych ośrodków w województwach wileńskim i nowogródzkim i dał prawie 200 przedstawień. I to w jakich warunkach. Gdy „Reduta“ miała do dyspozycji specjalne ulgi kolejowe, dwa wagony towarowe do przewożenia dekoracji i znacznie większe subsydia państwowe i samorządowe, teatr objazdowy korzysta z ulgi 50%, to znaczy takiej, jaką mają zwykłe wycieczki.

Z wręcz anegdotycznymi warunkami spotykał się teatr w miasteczkach nie posiadających sali widowiskowej; były wypadki, że dawano przedstawienie w poczekalniach dworców kolejowych, na prowizorycznej scenie; kombinowano przytem tak, by pociągi przyjeżdżały, względnie odjeżdżały w czasie przerw (świetne okoliczności do wystawienia „Pociągu—widma“). Każdy objazd przynosił w plonie 2—3 tysiące deficytu, a sezon cały 15—20 tysięcy, co znów musiało się odbić ujemnie na teatrze miejskim.

Jakież ma z tego wawrzyny dyrekcja teatru? Najczęściej to, że zarzucają jej złą administrację i trwonienie skromnych funduszków. Zgodzę się, że można krytykować nieszczęśliwy wybór sztuki, słabą grę aktorów, wszelkie literackie i techniczne niedociągnięcia, lecz gdy chodzi o warunki w jakich teatr nasz pracuje, trzeba pomagać, chociaż cichutkim głosikiem, w uzyskaniu tylko takich subsydjów i takiego poparcia (na kolejach) jakie mają organizacje W. F. i P. W.

W OBRONIE „LUTNI”

Jak to jest właściwie z naszymi teatrami?

Nie chodzi nam w tej chwili o zagadnienia formy i treści, o konstruktywną stronę widowisk wileńskich, ale poprostu nie tyle o hamletowskie, ile nasze wileńskie „być albo nie być” teatrom w Wilnie.

Przed kilku laty aktualnym zagadnieniem było, czy

w Wilnie mamy mieć jeden czy dwa teatry. Tak zwane „czynniki miarodajne” dążyły do jednego teatru — życie stworzyło dwa. Próbowano je zespolić, oddać w jedną rękę.

Może to był plan dobry, ale nie znalazł się nikt tak wszechstronnie organizacyjnie uzdolniony, aby mógł z powodzeniem kierować dramatem i zespołem muzycznym.

Zespoły rozbiły się ostatecznie, i volens nolens mamy „Pohulanek i Lutnię”, jako odrębne organizmy teatralne.

Z samego jedynowładztwa teatralnego pozostał pewien spadek: subsydja, któremi dawniej miał operować dowolnie kierownik z uwzględnieniem jednak teatru dramatycznego.

Teatry się rozbiły, a subsydjum przeszło w całości do jednego teatru. Drugiemu nie dostało się nic, nawet „okruszyny z pańskiego stołu”.

Na ten anormalny stan zwróciło uwagę Tow. Popierania Polskiej Sztuki Scenicznej, które od chwili objęcia opieki nad teatrami przez państwo i samorząd usunęło się od bezpośredniej ingerencji i obecnie zabiera znowu głos, pomnie swej świetnej tradycji z czasów niewoli.

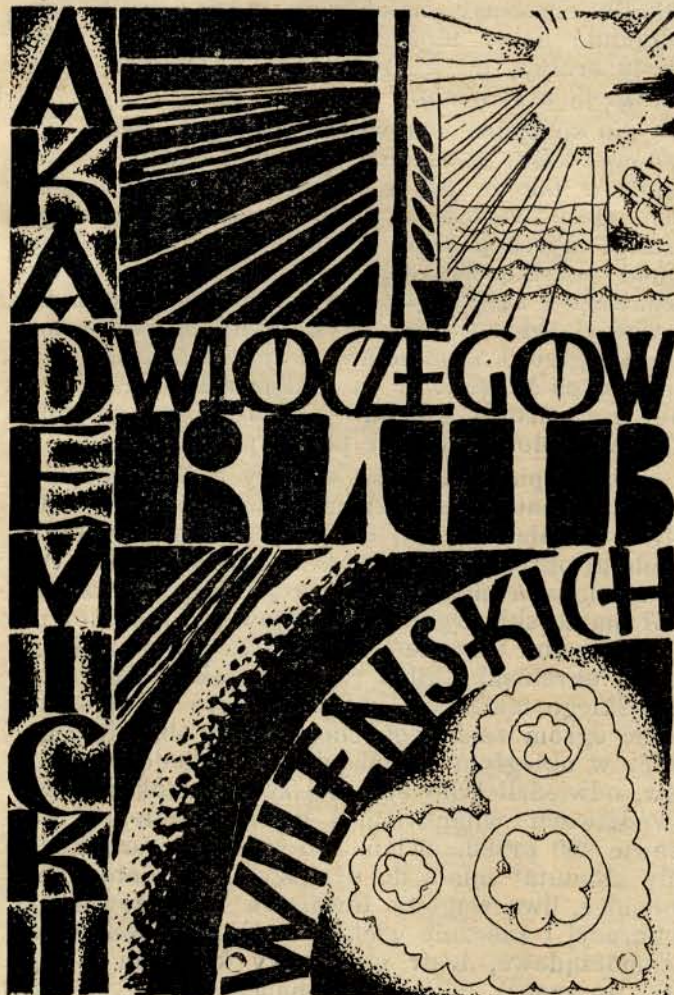
Towarzystwo to stało przez ćwierćwiecze na straży dobra sceny polskiej w Wilnie i położyło wielkie zasługi dla sztuki polskiej.

Obecnie T-wo uważając, że pozbawienie całkowite jednego zespołu teatralnego wszelkiej pomocy na korzyść drugiego nie da się pogodzić z troską o normalny rozwój sceny polskiej w naszym mieście, wystosowało dwa apele do Ministerstwa W. R. i O. P. oraz Zarządu miasta Wilna, aby przy uwzględnieniu potrzeb kulturalnych Wilna miało również na pamięci zespół muzyczny, który przecież nie jest kopciuszkami, ale ma swoje dobrze zasłużone i zdecydowanie wyrobione stanowisko w życiu teatralnym Wilna. Jest to zespół, którym się przed całą Polską pochłubić możemy. A to obowiązuje.

Piotr Hermanowicz

Prezydium Klubu podaje do wiadomości, iż uzyskało dla członków Klubu Włóczegów 50% zniżkę do Teatru Mejskiego na Pohulance.

Bliższe informacje i kupony, upoważniające do nabycia biletów po cenach ulgowych, otrzymać można u kol. Bohdana Wierzbickiego (adres prywatny—ul. Jakóba Jasińskiego 7, m. 61).



AKADEMICKI KLUB WŁOCZEGÓW WILEŃSKICH

W związku ze zbliżającym się rokiem akademickim, słów kilka, niejako informacyjnych o Klubie Włóczegów zamieścić należy.

Wiele się słyzy o Klubie Włóczegów Senjorów, który swą działalnością zapoczątkował wyłom w intelektualnej i społecznej martwocie naszego grodu. Natomiast Ak. Klub Włóczegów jest naogół mało znany, chociaż z niego wyszli przeważnie członkowie Klubu Senjorów. Powodem tej niepopularności stał się pewien kryzys w Ak. Klubie, kiedy to „starzy” wyszli, a nowych jeszcze nie było. Już jednak okres przełomowy minął i Klub Akademicki zaczął normalnie funkcjonować od 1933 r.

Trudno jest w kilku wierszach szeroko rozwozić się nad ideologią organizacji.

Można podać dwa zasadnicze działy programowe. Po pierwsze: włóczęga duchowa czy intelektualna, po drugie: włóczęga fizyczna w ścisłym znaczeniu—wypełnią nasz program. Postaram się pokrótce scharakteryzować na czym nasze włóczęgi polegają. Staramy się możliwie ściślej współżyć z Uniwersytetem, uczestniczyć w imprezach i pełnić akademickie życie naprzód nie w stylu burzowskim lub pałkarskim, ale w ten sposób, by ludzie w akademiku widzieli ową zdrową młodość, a nie zblazowanie korporanckie, lub chorobliwe politykierstwo. Problemy, które rozstrząsamy wspólnie stwarzają więź duchową. Wspólne włóczęgi po naszej cudownej Wileńszczyźnie i całej Polsce łączą nas duchem braterskości nie narzuconej przez kogoś z góry, lecz samorzutnej. Przy ognisku obozowym, w kajaku, na szlakach

pieszych, następuje najściślejsze zbratanie w złej, czy dobrej przygodzie. To życie prawdziwe chcemy przeciwstawić brataniu się przy kieliszku, czy kuflu piwa, powstającemu sztucznie przez również sztuczne podniecanie się alkoholem.

Kiedyś Klub Akademicki ogniskował życie intelektualne Uniwersytetu. Przez swoją apolityczność zgromadził wszystkich, którzy czuli się w duszy naprawdę włóczęgami, a nie byli rozdzielani interesami jakichkolwiek partyj. Ci już wyszli z Uniwersytetu. Nastąpił kryzys. Teraz już Klub liczy około 30-tu czynnych członków zespolonych pracą i włóczęgami w 1933/34 r. Na progę nowego roku akademickiego wzywamy tych, którzy są naszymi braćmi we włóczędze do wstąpienia w nasze szeregi.

Włóczędzy wszystkich krajów łączcie się.

Bob.



Regaty kajakowe Wilno — Legaciszki w dn. 9.IX. Na zdjęciu osada Klubu Włóczęgów w składzie: St. Kuropatwa i T. Nagurksi na starcie przy przystani A. Z. S. Osada ta zdobyła główną nagrodę, puchar ufundowany przez prof. St. Hillera — kuratora Bratniej Pomocy Studentów U. S. B.

fol. T. Szumański.

SPŁYW DO LEGACISZEK

I tu Włóczędzy umaczali palce, a więc wspomnieć o tem należy gwoli chwały większej. Spływ turystyczno-regatowy do Legaciszek zgromadził wielką ilość kajaków, od spokojnych kryp familijnych do śmigłych, a niepolecanych filistrom wyścigówek. Spływ został uznany, a to już dużo znaczy. Mamy nadzieję, iż na przyszły rok będzie jeszcze więcej uczestników, gdyż wzorowa organizacja, przepiękna trasa, no i dreszczyk emocji (mowa o Sojdziach) powinny znieść turystów i filistrów. Należy dodać, że bezpieczeństwo było zapewnione, gdyż na Sojdziach czuwali zaciwi włóczęgowie z narzędziami zlekką przypominającymi koła ratunkowe. Koszt transportu minimalny: złotych polskich trzy. Dla amatorów droga powrotna bezpłatna: kajakiem pod prąd.

Bob.

CO BĘDIE Z „ALMA MATER“?

XI-ty numer „Almae Matris Vilmensis“, który ukazał się w grudniu ubiegłego roku, został powitany z niejakim zadowoleniem, jako zapowiedź dalszego wydawania tego pisma, jako świadectwo, że trudności finansowe, które przez długi czas groziły przerwaniem wydawnictwa, zostały szczęśliwie pokonane.

Jak się jednak okazuje, „A. M. V.“ walczy nie tylko z finansowymi trudnościami. Pomimo, że są one pokonane, niema dotąd mowy o wydaniu następnego, XII-go numeru. Zrzeczenie Kół Naukowych, którego właściwie jedynym zadaniem było formalne kierownictwo „A. M. V.“, jak się zdaje, skorzystało z rozporządzenia Min. W. i O. P. o stowarzyszeniach akademickich, aby bezboleśnie zamrzeć. Wydawnictwo pozostało na lodzie, nie posiadając władz wydawniczych, komitetu redakcyjnego (gdyż komitet redakcyjny jest powoływany każdorazowo do wydania poszczególnego numeru), i po szczęśliwym wyminięciu przeszkód materialnych, znalazło się wobec równie trudnych do przebycia przeszkód formalnych. Nawet niewiadomo, czy je ktokolwiek chce wymijać.

Jak nie, to nie. Requiescat in pace.

ZMNIEJSZENIE ILOŚCI AKADEM. KÓŁ NA U.S.B.

W minionym roku akademickim ilość kół akademickich na terenie U.S.B. znacznie zmalała. Oto pismem Rektora z dnia 30 maja r.b., opartem na Rozp. Min. W. R. i O. P. z dn. 30-IV 1934 r. o stowarzyszeniach akademickich i na uchwale Senatu Uniwersyteckiego U.S.B, zostało rozwiązanych 19 rozmaitych organizacyj akademickich, istniejących na U.S.B. Wśród tych stowarzyszeń mamy kilka kół naukowych, kół prowincjonalnych, ideowych i towarzyskich. Przyczyną ich rozwiązania było niedostarczenie w przepisany terminie, względnie przedłożenie opracowanych w nieodpowiedni sposób, statutów tychże kół.



101520
27.8.72
60

Uwaga!

Uwaga!

Już w tych dniach ukaże się w sprzedaży

18 ohydnych paszkwilów na Wilno i Wilnian

Cena 50 groszy.

Do nabycia w księgarniach.

TEN ZNAK



zapewni Ci staranne
i estetyczne wykona-
nie druków.

- ☐ FACHOWE KIEROWNICTWO ARTYSTYCZNE.
 - ☐ NOWE KROJE PISM.
 - ☐ STARANNY I WYRAŹNY DRUK.
 - ☐ PUNKTUALNE WYKONANIE ZAMÓWIEŃ.
 - ☐ MINIMALNE CENY.
-
-

DRUKARNIA „GRAFIKA“
ART.-MAL. GRACJANA ACHREM-ACHREMOWICZA

WILNO, TROCKA 13. TELEFON 13—69.